ROCZNIK XV. Czerwiec 1911. Nr. 6.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich

Turyn — Via Cottolengo, 32

Przezacnych Pomocników, co przypadkiem otrzymują zbyteczne egzemplarze Wiadomości, najuprzejmiej prosimy zwrócić je listonoszowi z dopiskiem „zbyteczne," albo podawać je innym do przeczytania.

Przezacnym Pomocnikom i Czcigodnym Pomocnicom Salezyańskim.

Polecamy gorąco sprawę rozszerzania naszego Miesięcznika i zjednywania nowych członków dla naszego Pobożnego Związku Pomocników Salezyańskich. Im więcej nas będzie, tem skuteczniejszą i łacniejszą będzie nasza praca. Już teraz wielu chętnie przystaje do naszych szeregów, li tylko z przyczyny, że Związek nasz jest silnie rozgałęziony po całej ziemi i liczy przeszło 300.000 członków. Niechże się ta liczba podwoi i potroi, — a ludzie coraz chętniej będą się garnęli tam, gdzie widzą zgodne serca, siły skupione w pracy dla chwały Bożej. Lecz trzeba, aby ich ktoś powiadomił o istnieniu tego Związku, lub podał do rąk odpowiedni numer *Wiadomości Salezyańskich,* bo dopokąd nie poznają ni jednego ni drugiego, nie może być mowy o przystąpieniu do naszych szeregów. Dlatego wzywamy z całego serca naszych gorliwych Pomocników, ażeby często opowiadali o sprawach Salezyańskich w kołach swych krewnych, przyjaciół, znajomych i podawali im do przeczytania poszczególne egzemplarze naszych *Wiadomości.* Adresy nowopozyskanych Pomocników prosimy przesyłać do najbliższego domu Salezyańskiego, albo wprost do nas pod adresem: *Wiadomości Salezyańskie* — Via Cottolengo, 32 — TURYN (Italia).

Z MIŁOŚCI KU NAJSŁODSZEMU SERCU JEZUSOWEMU.



Wielki Papież Leon XIII, poświęcając Kościół i ludzkość całą Najśw. Sercu Jezusowemu, kończył akt poświęcenia temi podniosłemi słowy: *Niech będzie chwała Boskiemu Sercu, przez które stało się zbawienie; Jemu niech będzie cześć i uwielbienie na wieki.* Wielki Papież pragnął, by to był okrzyk całej ludzkości, ażeby ludzkość cała, wszyscy ludzie na całej kuli ziemskiej uznali, iż największym ich Dobroczyńcą jest Bóg — nie jakiś tam Bóg nieuchwytny, jakiś nieokreślony pierwiastek, początek wszechrzeczy, lecz Bóg osobisty, żywy, czujący, Bóg kochający stworzenie Swoje aż do przyjęcia jego kształtów, Bóg pragnący jego szczęścia aż do wylania krwi dla zbawienia ludzi, Bóg, *którego Serce nas zewsząd przykrywa* — jak się wyraża jeden z naszych poetów, autor Psalmu Dobrej Woli.

Z miłości ku temu najłaskawszemu Sercu musimy coś uczynić, kochani Pomocnicy i Pomocnice. Niech nam nie będzie przykro, zastanowić się chwileczkę nad tem, w czembyśmy mogli przymnożyć chwały Najświętszemu Sercu naszego Zbawiciela.

Pan Jezus pragnie naszego serca.

Synu mój, córko moja, daj mi serce twoje. Masz tyle pracy, tyle zachodów, tyle nawet cierpień, krzątasz się około bardzo wiela, mówisz tak często i tak wiele w ciągu dnia — proszę cię — niech ostatecznym celem twoich myśli, słów i uczynków będzie chwała moja a zbawienie twoje. Nie żądam od ciebie ostrych uczynków pokutnych, nie żądam męczeństwa, śmierci krzyżowej, wylania ostatniej kropli krwi; nie tego żądam — jeno się dopraszam serca twego, jeno pragnę, byś nie zapominał podczas prac twoich o miłości Mego Serca, byś też czasem wspomniał przed bratem twoim o Mnie, byś z miłości ku Mnie poprawiał się z twoich wad i niedostatków. Pragnę serca twego! Jeżeli to nie będzie serce Serafina, płonące żarem miłości nadziemskiej, to daj mi w ofierze przynajmniej serce wolne od grzechu, serce skruszone i bolejące nad upadkami przeszłymi.

Nie zamykajmy serca naszego na to miłościwe zaproszenie Najsłodszego Serca. Wszak to głos Króla, głos Ojca, owszem, głos Przyjaciela i Brata, który nas kocha, który chce nas uczynić uczestnikami szczęścia wiekuistego. Idźmyż za tym głosem, bo idąc za nim, zbliżamy się do naszego szczęścia doczesnego i wiecznego. Oczyszczajmy serce nasze z wad i ułomności, a tak oczyszczone, ofiarujmy je Boskiemu Sercu naszego Zbawiciela.

Ale nasza miłość ku Panu Jezusowi nie poprzestanie z pewnością na pracy nad udoskonaleniem własnego serca. Wiadomo nam przecież, że Boskie Serce naszego Zbawiciela pragnie widzieć wszystkich ludzi zgromadzonych naokoło Siebie. Kto im tedy wskaże drogę do Pana Jezusa? Kto ich nauczy kochać Jezusa? Kto przyspieszy tę chwilę, by na całej kuli ziemskiej rozlegał się jeden głos: *Niech będzie chwała Boskiemu Sercu, przez które stało się zbawienie?* P. Jezus mógłby to uczynić jednym aktem Swej woli, niczem nieograniczo-

nej, lecz w nieskończonej Swej dobroci pragnie nas uczynić uczestnikami Swej mocy i potęgi, oraz chce, ażebyśmy naszymi wysiłkami i zabiegami wpływali na bliźnich naszych, aby i oni na równi z nami poznali i pokochali Najświętsze Serce Boga-Człowieka i w Nim założyli podwaliny szczęścia doczesnego i wiecznego. Nasunie się nam do tego niejedna sposobność. W domu, w rodzinie, w pracy, w szkole, w urzędzie, w podróży, w kole przyjaciół, na zabawie: wszędzie znajdzie prawdziwy czciciel Najsłodszego Serca chwilę i moment stosowny i odpowiedni do rzucenia jakiegoś dobrego słówka, do usunięcia jakiejś zdrożności, do przeszkodzenia jakiemuś zgorszeniu, do poparcia jakiej dobrej sprawy. Pragniesz pracować na szerszą skalę dla bliźnich? Wstąp do bractwa, do stowarzyszenia, których zapewne nie brak w twojej parafii; w nich przyświecaj pracą, przykładem. Brak ci do tego odwagi, wpływu, oświaty? Policz się, czyś przypadkiem z własnej winy nie pozbawił się tych zalet! Odwagę zdobywa się pokorą, śmiałem podjęciem czynu, z ufnością w pomoc Bożą i z gotowością zniesienia jakiegokolwiek upokorzenia dla dobrej sprawy. Wpływ nad innymi zyskuje się przez całkowite opanowanie siebie samego; oświatę przez pilne czytanie, naukę i korzystanie z najdrobniejszych ułamków wolnego czasu. Jeśliśmy to zaniedbali w przeszłości, teraz zawsze mamy czas wynagrodzić to na przyszłość; tylko niezwłocznie i rączo i ochotnie wziąć się do pracy.

Ileż to w naszem otoczeniu jest zła do naprawienia, zgorszeń bo usunięcia! Tam na łąkach i pastwiskach gromady młodzieży, niby zajęte pasieniem, ale czy rodzicom wiadomo, że tam właśnie młodzież nasza stawia pierwsze kroki na drodze zepsucia, a to mianowicie z winy rodziców, ponieważ oni zostawiają ją tam bez wszelkiego nadzoru! Niebawem rozpocznie się pora odpustów i pielgrzymek: przez wioski i miasta przeciągną różne budy z przedstawieniami; czy zacniejsi obywatele postarają się sprawdzić, ażali w tych budach nie przedstawiają się przypadkiem rzeczy niebezpieczne dla zdrowia moralnego ich dzieci? Prawda, to rzecz stróżów porządku publicznego; ale jeżeli my przez wzgląd na wieczne zbawienie dzieci naszych nie jesteśmy dość pilni i czujni, czy pilniejszym i czujniejszym będzie stróż za kilka marnych groszy? Nieskromne pisma, gazety, igrzyska teatry, kinomatografy rujnują naszą młodzież — a czy my z naszej strony pracujemy dość silnie, by im przeciwstawić dobre pisma, gazety, teatry, i inne uczciwe zabawy, niezbędne dla młodzieży w naszych czasach? Może w naszem mieście, w naszej wiosce istnieją stowarzyszenia, mające na celu zwalczanie tej zarazy obyczajowej, a my o nich nawet nie wiemy. A jeżeli ich niema, niechże, kto gorliwszy, pocznie się poważnie zastanawiać nad tym brakiem — bo brak w miejscowości pewnego dobrego stowarzyszenia, jest rzeczą nader bolesną; — trzeba się nad nią dobrze zastanawiać. Zacznijmyż tedy mówić o niej w kółku naszych krewnych, znajomych, przyjaciół, zacznijmyż pracować, jak się da, a z czasem znajdzie się ktoś, co tej pracy prywatnej, poufnej, cichej i przygotowawczej będzie umiał nadać kierunek jednolity, szeroki, formalny. *Katolicy wszystkich krajów, łączcie się*, woła jeden z naszych czcinajgodniejszych Arcypasterzy! Bo jak źli zjednoczonemi siłami idą na podbój świata dla szatana, tak dobrzy powinni zjednoczonemi siłami

pracować nad zwycięstwem prawdy i nad rozszerzeniem Królestwa Chrystusowego na ziemi.

Któż z nas nie słyszał o tych bohaterach, co pragnąc rozszerzyć Królestwo Chrystusowe na ziemi, opuścili rodzinę, Ojczyznę, przyjaciół, wszystko, co mieli najdroższego na ziemi, a udali się hen, w nieznane strony, ażeby głosić słowo prawdy ludom, pogrążonym w ciemnościach niewiary i w cieniach śmierci. Jeżeli nas nie stać na tyle bohaterstwa, to pomyślmy, czy nie możemy w inny sposób pracować dla przymnożenia wyznawców Imienia Chrystusowego. Mamy u siebie w kraju miliony wyznawców zniepra wionego zakonu mojżeszowego, Żydów, nieszczęśliwe ofiary nienawiści, których od najranniejszej młodości uczono całem sercem nienawidzieć religii chrześcijan i pracować na ich zgubę. Przyzwyczailiśmy się wierzyć, że ich nie można nawrócić, a nie przypuszczamy, że nawraca ich się nieustannie wiele, a nawróceń tych byłoby o wiele więcej, gdybyśmy i z naszej strony uczynili coś, coby nawracającym się ułatwiło przejście na łono Kościoła Chrystusowego. Tam w Anglii istnieją osobne Stowarzyszenia protestanckie, których członkowie zobowiązują się codziennie odmawiać Różaniec, słuchać Mszy św., przyjmować Komunię św., wydawać Pisma, zwoływać Kongresy, a wszystko w tym celu i w tej intencyi, ażeby przyspieszyć nawrócenie całej Anglii na łono jednego Kościoła. A my czy czynimy co dla nawrócenia Żydów, których mamy miliony w naszym kraju?

Nie sądźmy, że dusza żydowska czuje takie przywiązanie do swej religii, jak dusza chrześcijańska do religii Chrystusowej. ,,*Nie mówcie mi o religii żydowskiej*, tak się zaklina żyd Heine; *nie życzę jej mojemu największemu wrogowi. Nie przynosi ona nic, okrom sromu i hańby: judaizm, to nie religia, to poprostu nieszczęście!*

Takich serc dążących nieświadomie do jakiegoś *centrum omnium cordium* (1) jest wśród Żydów cała masa, i chętnie przyłączyliby się oni do wyznawców obiecanego Mesyasza, gdyby ich nie trzymała w pętach żelazna przemoc synagogi. A wśród chrześcijan nikt pono dotąd nie pomyślał, jakby pomódz tym biedakom wydostać się ze szponów kachału, a dać im skosztować i zażyć rozkoszy synów Bożych, obywateli królestwa Mesyasza.

O drodzy Pomocnicy, możnaby w nieskończoność wyliczać najróżniejsze sposoby pracy dla chwały Bożej z miłości do Najsłodszego Serca Jezusowego. Dusza, pałająca prawdziwą i gorącą miłością ku temu najmiłościwszemu Sercu, wynajdzie jeszcze więcej sposobów, bardziej praktycznych i bardziej zastosowanych do swego stanu i powołania, jeżeli często i gorąco będzie wołała do swego Oblubieńca: *Domine, quid me vis facere? — Panie, co chcesz, abym czynił dla Ciebie?*

Bibliografia.

Treść **„Miesięcznika Kościelnego"** (reszyt majowy): Dobra Pani. (Ks. E. Nawrowski.) — Religia najważniejszym czynnikiem w wychowaniu. (A. Słomińska). — Idea cyrylo-metodyjska. (D. Królikowski.) — Reformacya i Racyonalizm biblijny. (Ks. Dr. W. Michalski.) — Eucharystya w Didache. (Ks. prof. Dr. Sieniatycki.) — O odnawianiu obrazów starych. (Msgr. Antoni Laubitz.) — Zapiski. Z teki pytań: Jak się rozwinął sposób zachowywania wielkiego postu wielkanocnego? (Ks. Józef Zalewski.) — Z prawodawstwa kościelnego. — Z sądownictwa państwowego. — Nowe książki. Sprawozdania. Wzmianki. Zestawienia.

---

(1) W litanii do Najsł. Serca J. śpiewamy: Cor Jesu, Rex et **centrum omnium cordium** — Serce Jezusa, Królu i **serc wszystkich zjednoczenie.**

System Wychowawczy X. Bosko.

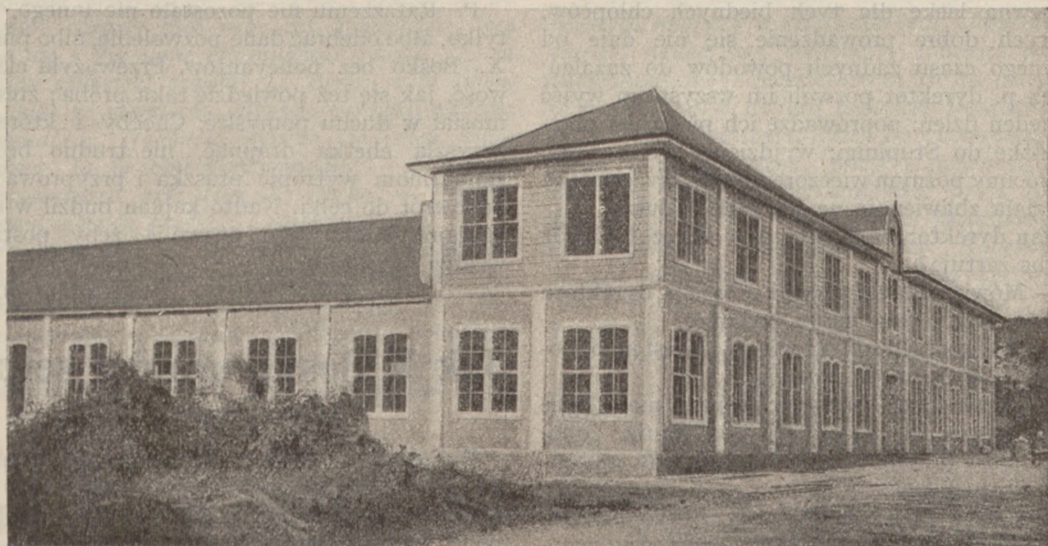
(Ciąg dalszy).

Jednem słowem, X. Bosko rządził zapomocą świętej bojaźni Bożej, miłością, dobrym przykładem. Gotów może ktoś rządy takie nazwać teokratycznymi. My — pisze X. Ballesio — nazwiemy je rządami przekonania, miłości, najgodniejszymi człowieka. Nie potrzeba szeroko się rozwodzić, ażeby wykazać zadziwiające wyniki tego systemu. Setki chłopców studentów i rzemieślników spełniało z zapałem i dokładnością swoje obowiązki. A znajdowało się wielu śród nich nietylko dobrych, ale celujących dobrym przykładem, czyto w pobożności, czy w pracy, nauce, uprzejmości, umartwieniu, którzy za nic w świecie nie popełniliby rozmyślnie grzechu powszedniego, których pobożność serdeczna a mocna przechodziła granice zwyczajnej cnoty. Rozkoszą było widzieć ich w kościele, w świętem, niebieskiem zachwyceniu podczas modlitw! Ileż to razy patrycyusz miejski przyprowadzał dzieci swoje do kościoła, aby przyjrzały się tym dzieciom ludu, które pobożnością swoją, nieświadomie, stały się wielkiemi. Byli to ulubieńcy X. Bosko, przejęci jego duchem, wspierający go potężnie pracą swoją, bo wywierali wielki i zbawienny wpływ na swoich towarzyszy. Widziano w Oratoryum piękne i ujmujące cnoty niewinności, prostoty, chrześcijańskiego wesela, dla których właśnie tak drogimi nam są pierwsze czasy św. Dominika, św. Franciszka z Asyżu ze swymi towarzyszami. Coby profan jaki nazwał legendą, było tu rzeczywistością historyczną.

Pamiętny przykład skuteczności systemu uprzedzającego.

W r. 1845 założył rząd piemoncki w Turynie dom poprawy dla niepełnoletnich przestępców, zwany *La Generala*. O ile przepisy zakładowe i własne zajęcia pozwalały mu na to, udawał się X. Bosko do tych nieszczęśliwych młodzieńców, godnych naprawdę największego politowania.

Za pozwoleniem rządcy domu nauczał ich katechizmu, miewał do nich kazania, słuchał ich spowiedzi i często zatrzymywał się w pośród nich na poufałej rozmowie, jak to zwykł był czynić z dziećmi swojemi w Oratoryum. Nie trzeba dodawać, że biedne chłopczyki, widząc się traktowani tak uprzejmie, uważali X. Bosko za ojca i nieraz dawali mu dowody serdecznej miłości i poszanowania; aby go zaś nie zasmucać, starali się wieść życie możliwie nienaganne. Atoli razu pewnego dokazali, rzec można, cudu, i dowiodli niezbicie, że system zapobiegawczy niezrównaną ma siłę opanowania i okiełznania charakterów najuporniejszych i najbardziej buntowniczych.



PANAMA (Ameryka Środkowa) — Kollegium Salezyańskie,

Krótko po Wielkanocy r. 1855 miał X. Bosko dla tychże chłopców ćwiczenia duchowne, obfitujące w błogosławieństwa niebieskie. Słodycz i miłość ojcowskiego jego serca pozyskała wszystkich, nawet najuporczywszych i wszyscy przystąpili do Stołu Pańskiego, z wyjątkiem jednego. Zauważył w nich prawdziwy, szczery

zwrot ku lepszemu, oraz mocne przywiązanie i serdeczną wdzięczność ku swojej osobie. Wzruszyło go to do głębi i postanowił uzyskać dla nich jaką ulgę w ich niewoli. Pierwszym pomysłem była piękna przechadzka, gdyż miał przekonanie, iż brak ruchu i wolnego powietrza stanowił dla nich najtwardszą i najnieznośniejszą karę. Udał się natychmiast do dyrektora więzień.

— Przychodzę przedłożyć panu pewną propozycyę, czy będzie przyjęta?

— Uczynimy wszystko, ażeby Księdza zadowolić, odrzekł urzędnik, ponieważ wpływ jego na naszych chłopców okazał się nam bardzo pomocnym.

— Otóż niech mi p. dyrektor pozwoli prosić o pewną łaskę dla tych biednych chłopców, których dobre prowadzenie się nie daje od pewnego czasu żadnych powodów do zażaleń; niech p. dyrektor pozwoli im wszystkim wyjść na jeden dzień; poprowadzę ich pieszo na przechadzkę do Stupinigi; wyjdziemy wczas rano, a wrócimy późnym wieczorem: taka przechadzka podziała zbawiennie na ich ciało i duszę.

Pan dyrektor zdębniał: Ależ Księże! Ksiądz chyba żartuje?

— Mówię całkiem seryo i proszę p. dyrektora wziąść pod uwagę moje podanie.

— Ale czyż Ksiądz nie wie, że ja jestem odpowiedzialny za każdą ucieczkę?

— Niech pan będzie spokojny, nie będzie żadnej ucieczki. Jeżeli mi pan zaufa, zobowiązuję się przyprowadzić ich napowrót wszystkich do jednego.

Dyskusya przeciągała się; X. Bosko nalegał, a p. dyrektor zastawiał się nieugiętością przepisów; nareszcie, nie mogąc brać na siebie takiej odpowiedzialności, zgodził się pomówić o tem z ministrem.

Tymczasem X. Bosko udał się do prefekta prowincyi (starosty ziemskiego), od którego należało uzyskać pozwolenie. Ale ten był niewzruszony w odmowie.

Lepiej udała się prośba p. dyrektora u ministra Ratazzego. Ten zastanowił się chwilkę nad nowym projektem, a potem zapragnął rozmówić się z X. Bosko. Gdy X. Bosko stanął przed nim, ozwał się p. minister:

— Przychylam się do prośby, przesłanej mi w tych dniach w imieniu księdza Dobrodzieja. Ksiądz może spełnić swój zamiar, gdyż to przyczyni się niepomiernie do podniesienia tak moralnego jak fizycznego stanu więźniów: z mej strony dam odpowiednie rozporządzenie: w oddaleniu pójdą tajni policyanci, aby ksiądz miał pomoc w razie potrzeby przywrócenia porządku, albo zmuszenia opornych do powrotu wieczorem do więzienia.

Atoli X. Bosko na wzmiankę o policyantach uśmiechnął się i odrzekł:

— Jestem bardzo wdzięczny W. Ekscelencyi za przychylność, ale do wykonania swojego planu przystąpię tylko pod warunkiem, że W. E. pozwoli mnie samemu prowadzić chłopców i zaręczy mi słowem honoru, że nie pośle w trop za nami żadnej straży. Biorę na siebie całą odpowiedzialność: W. E. może kazać mnie uwięzić, jeżeli zajdzie jaki nieporządek.

Minister zdziwił się.

— Ależ X. Dobrodziej nie przyprowadzi napowrót ani jednego z tych opryszków.

— Niech mi W. E. zaufa! odrzekł X. Bosko, a jego postawa była tak rezolutna, że widocznem było, iż słowa nie cofnie.

P. Ratazzemu nie pozostało nic innego, jak tylko, albo odebrać dane pozwolenie, albo puścić X. Bosko bez policyantów. Przeważyła ciekawość, jak się też powiedzie taka próba; zresztą musiał w duchu pomyśleć: Choćby i któremu przyszła chętka drapnąć, nie trudno będzie żandarmom wytropić ptaszka i przyprowadzić napowrót do celki. Nadto kapłan budził w nim zaufanie i dla tego pozwolił, żeby postąpił według swej woli.

(*Ciąg d. n.*)

Jak X. Bosko urabiał serca.

We wrześniu 1850 r. X. Bosko zabrał sporą gromadkę chłopców na rekolekcye do małego seminaryum w Giaveno (5 godzin pieszo od Turynu), które w czasie wakacyi było puste. Na wydatki do tego pięknego celu uzyskał z Towarzystwa św. Pawła osobną zapomogę. Ażeby zaś z całych rekolekcyi mogło się uzyskać jak najwięcej dobrego, porozumiał się z miejscowym X. Proboszczem i obywatelami, ażeby w rekolekcyach mogli wziąść udział wszyscy chłopcy z miasteczka. Można sobie łatwo wyobrazić, co to było za zadanie, utrzymać w porządku 150 niespokojnych chłopców, nakłonić ich do nabożnego słuchania kazań, do zachowania milczenia w czasie nakazanym itp. Było to bowiem zaledwie w początkach jego prac apostolskich, kiedy jeszcze nie miał swoich księży ani kleryków, lecz wychowywał sobie pierwszych młodzieńców, którzy mieli mu później być pomocnymi w wielkich jego zamiarach.

Podczas jednej z pierwszych rekreacyi X. Bosko, który zazwyczaj nie zażywał tabaki, wyciągnął z kieszeni dużą szkatułkę napełnioną po brzegi. Wnet zebrała się naokoło niego cała chmara chłopców mniejszych i większych, żądając poczęstowania. X. Bosko częstował; lecz nic na chybił trafił, ale tych tylko, którzy zażywali albo z po-

lecenia lekarza, albo też z długiego przyzwyczajenia. A nie tylko częstował, ale potrzebującym napełniał tabakiery na cały czas rekolekcyi. Drobnostka to, prawda, ale takie właśnie drobnostki zyskiwały X. Bosko miłość i przywiązanie chłopców.

Bo on pragnął, by podczas rekreacyi, gdy wolno było rozmawiać, chłopcy garnęli się do niego, ażeby mógł do nich przemawiać z całą swobodą, jak ojciec rozmawia z swoją dziatwą. Rzeczywiście dziatwa trzymała się nieustannie jego sutanny, a on korzystał z tego, aby ich się pytać, o czem było kazanie, jakie sobie powzięli postanowienia itp.

Raz po południu miał w swojem otoczeniu wielu chłopczyków z parafii i począł ich pytać, o czem było kazanie. Zagadnie jednego — nic! Zagadnie drugiego — nic! Trzeci drapie się po głowie, czwarty chce niby coś powiedzieć, lecz jąka się i nie umie sformułować zdania. „O ja biedny człowiek! zawołał X. Bosko, a to albom ja gadał po niemiecku, alboście wy spali podczas kazania!?..... Nakoniec wyrywa się jeden malec i mówi: Ja, ja sobie przypominam. — A co sobie przypominasz, pyta dalej X. Bosko. — Przypominam sobie ów przykład o małpach....

Przekonawszy się, że chłopcy z taką trudnością sobie zapamiętywają rzeczy słyszane na kazaniu, oraz, że najgłębsze wrażenie sprawia na nich opowiadanie w formie przykładu, przeplatał odtąd swe kazania licznemi opowiadaniami i porównaniami i tym sposobem torował sobie drogę do umysłu i do serca chłopczyków.

Jak X. Bosko mówił i pisał dla dzieci.

Kościoły heretyckie znamion Boskości nie posiadają.

Kościoły protestanckie, schyzmatyckie i inne, znaków Kościoła prawdziwego mieć nie mogą, a to z następujących powodów.

1. Nie stanowią jednego kościoła, bo nie mają ani tej samej wiary, tej samej nauki, ani jednego i tego samego zwierzchnika; nawet trudno znaleźć dwóch nauczycieli tej samej sekty heretyckiej, którzyby się z sobą w głównych punktach swych wierzeń zgadzali. Stąd pochodzą ciągłe rozdwojenia w rzeczach zasadniczych i największej wagi. Sam kościół protestancki, niedługo po swem założeniu, już był podzielony na więcej niż dwanaście sekt. Niektórzy w nim przyjmują Mszę, inni ją odrzucają: są tacy, co wierzą w siedm Sakramentów, inni przyjmują tylko pięć albo trzy, albo dwa albo nawet żadnego. Gdzie wśród tylu i tak olbrzymich sprzeczności może być mowa o jedności *wiary?*

2. Nie są te kościoły świętymi, ponieważ odrzucają wszystkie lub pewne Sakramenta, z których wyłącznie wypływa prawdziwa świętość; dalej wyznają rzeczy przeciwne Ewangelii i przeciwne Bogu. W życiu wszystkich heretyków, niedowiarków i apostatów niema ani jednego świętego, ani jednego cudu przytoczyć nie można. Co gorsza, główni założyciele sekt kazili się występkami i zbrodniami haniebnemi. Kalwin i Luter sami utrzymywali, że za ich czasów katolicy byli lepszymi od reformowanych. Erazm, gorący popieracz protestantyzmu, miał powiedzieć, że wszyscy sławni mężowie Reformy, dalecy od czynienia cudów, nawet kulawego konia nie mogli wyleczyć.

3. Nie są katolickimi, bo są ograniczone do pewnych miejsc i w miejscach tych, stosownie do czasów, naukę swą zmieniają. Również nie są katolickimi, t. j. powszechnymi co do czasu, bo w porównaniu z Religią Katolicką liczą zaledwie kilka wieków istnienia. Przed Focyuszem nie była znaną schyzma grecka; przed Henrykiem VIII nie było mowy o anglikaniźmie; przed Kalwinem i Lutrem nie było mowy o protestantyźmie lub reformie Luteranizmu czy Kalwinizmu. Wogóle wszystkie herezye wywodzą egzystencyę swą i nazwę od epoki swoich założycieli; żadna z nich nie dochodzi do Jezusa Chrystusa.

4. Nie są apostolskimi, ponieważ nie wyznają, nawet odrzucają wiele rzeczy, w które Apostołowie wierzyli i których nauczali. Żaden z kościołów heretyckich nie może pochwalić się następstwem samych Apostołów i żaden nie jest złączony ze św. Piotrem, głową i księciem Apostołów.

Czy niema różnicy między nauką dziś wygłaszaną w kościele katolickim, a nauką Jezusa Chrystusa, której nauczali Apostołowie? Niema żadnej różnicy, ponieważ ci, co czytali, badali i zestawiali naukę, podawaną dziś przez Kościół święty; mogli naocznie się przekonać, że prawdy, których nauczał Pan Jezus i Apostołowie, są te same, których w wszystkich czasach nauczał i dziś naucza Kościół Katolicki, Apostolski i Rzymski.

Dla nas katolików wypływają stąd wnioski w największym stopniu pocieszające; Kościół katolicki zawsze potępiał wszystko, co się przeciwnego Ewangelii z biegiem czasu działo; i jedna i ta sama nauka była zawsze bronioną i wyznawaną tak, że żaden Papież zasady potępionej przez swego poprzednika nie wznawiał, ani też nie podawał w wątpliwość prawdy, która przed nim ogłoszoną została. Otóż stałe potępianie błędów i ogłaszanie tych samych prawd, co czynili Papieże od Piusa X aż do Jezusa Chrystusa, podaje nam niejako w ręce świętą Ewangelię, czystą i całkowitą, jak sam Jezus Chrystus jej nauczał i jak ją Apostołowie po całej ziemi opowiadali.

Misye Salezyańskie.

MATTO GROSSO (Brazylia).

I.

Spis szczepu bororskiego (Bororos).

(*List X. Jana Balzoli*).

Cuyabá, 28 listopada 1910 r.

Najprzewielebniejszy X. Albera!

W tym razem mogę z niewymowną radością i z najgłębszą wdzięcznością powtórzyć *Deo gratias et semper Deo gratias* (chwała Bogu, chwała wiekuista).

Mieliśmy się przedrzeć poprzez ziemie Bororów, ażeby ich wszystkich spisać, co było połączone nietylko z pewnemi trudnościami, ale oraz i z poważnemi niebezpieczeństwami. Otóż dzięki Bogu, wywiązaliśmy się z naszego zadania z wynikiem wyższym nad wszelkie spodziewanie. Zeszło nam na tem 69 dni czasu, a przebyliśmy 1766 kilometrów drogi, nie licząc traktu z kolonii do Kuyaby i napowrót. Miałem za towarzysza podróży naszego dzielnego kleryka Jana Chrzciciela Couturan'a i czterech Indyan.

Jeżeli się nie mylę, to obieg nasz był całkowity, bo zwiedziliśmy wszystkie miejscowości, w których przypuszczaliśmy istnienie aldei bororskich. Towarzyszący nam Indyanie sprawowali się poprawnie; bez broni palnej, ufając jedynie Opatrzności Boskiej, zapuściliśmy się w sam środek kniei, w najgłębsze kryjówki, trzymając się przez 11 dni w samym środku lasów, wśród wielkich niebezpieczeństw.

Nie zamierzam niniejszym listem dawać najprzewielebniejszemu Ojcu szczegółowego sprawozdania z naszej wyprawy, bo mój towarzysz jest już związany zadaniem opracowania dokładnego opisu całej tej misyi, której przebieg będzie w najwyższym stopniu interesującym także dla naszych Czytelników. Mnie wystarczy dać tylko wiadomość o szczęśliwem jej ukończeniu.

Obecnie zabieram się do powrotu do mej ukochanej misyi w Kuyabie, gdzie mnie oczekuje wiele pracy.

Pobłogosław nam wszystkim, najukochańszy X. Albera, mianowicie tego, co z najgłębszem uszanowaniem kreśli się

Twym najzobowiązańszym Synem w J. C.

X. Jan Balzola,

Misyonarz Salezyański.

II.

Opatrznościowe przybycie. Ostatnie chwile starego Misyonarza.

Z listu jednego z naszych współbraci, pisanego z miejscowości *Ponte de Pedra* na trakcie z *Kuyaby* do kolonii, wyjmujemy następujące szczegóły o śmierci naszego Misyonarza śp. X. Rafała Trawersy.

Dwudziestego ósmego listopada wyruszyłem z Osady *Najśw. Serca* w kierunku *Sangradouro*, opierając się naleganiom X. Colbacchini'ego, który pragnął, bym podróż odłożył aż do 30-ego owego miesiąca. Ja nagliłem z odjazdem tylko w tym celu, by módz dłużej zatrzymać się w Sangradouro, ale P. Bóg miał w tem całkiem odmienne zamiary.

Przestrzeń między dwiema osadami przebyliśmy w trzech dniach, podczas gdy w zwyczajnych warunkach potrzeba do tego czterech dni mułami jucznymi. Tak tedy stanąłem w Misyi 30-ego listopada.

Pierwszy braciszek, który nas zobaczył, powitał mnie słowami: Bóg Was przysłał w samą porę!... X. Trawersa, który w niedzielę lekko zaniemógł, rozchorował się ciężko i zbliża się raptownie do skonu.

Stanąłem co tchu u łoża ukochanego współbrata, który na mój widok zawołał: O jakżem szczęśliwy! Sam Bóg Cię przysyła; wiedziałem ja, że P. Bóg nie pozwoli mi umrzeć bez kapłana.

A po chwili spoglądając do góry, w niebo, dodał: Jeśli się Bogu będzie podobało, to jutro zrobię piękny skok.

Poczciwy staruszek (brakowało mu jeszcze tylko kilka dni do 72 lat) zbliżał się rzeczywiście do ostatniej chwili swego życia i to z całą pogodą ducha.

X. Balzola znajdował się w podróży poprzez

aldee bororskie — a zatem przybycie moje było rzeczywiście opatrznościowem.

Wieczorem chory się wyspowiadał, a nazajutrz przyjął Wiatyk z budującą pobożnością. Był zupełnie przy zmysłach, aczkolwiek utracił ze wszystkiem mowę; niemniej przez cały poranek szeptał nieustannie modlitwy.

O w pół do trzeciej stan chorego pogorszył się, dałem mu ostatnie Olejem św. pomazanie, następnie absolucyę papieską *in articulo mortis*, a widząc, że chory dogorywał, począłem mu czytać modlitwy za konających. Co za pogodny skon! Podczas gdyśmy odmawiali modlitwy o dobrą śmierć, usiadł na krawędzi swego ubożuchnego łóżka i oparty na naszych ramionach, oddał spokojnie Bogu ducha z uśmiechem na ustach.

Coby było nastąpiło, gdybym był wyruszył z domu dopiero 30-go, lub gdyby podróż była się przeciągnęła przez cztery dni? Drogi nasz X. Trawersa byłby zmarł bez pociech religijnych. Opatrzność Boska kierowała widocznie moim pospiechem do podróży z zamiarami całkiem różnymi od moich.

Przy śmierci poczciwego Misyonarza było obecnych z ciekawości, a także nie bez wzruszenia wielu Indyan, między innymi dziki Bo'e Migera (naczelnik ludu) i Perigo, który swego czasu był postrachem dla cywilizowanych.

Ten stał przed trupem w głębokiej zadumie; jego płonące oczy utraciły ów złowrogi połysk, ustało również konwulsyjne i nieustanne drganie jego warg. Kto wie, jakie myśli snuły się w jego głowie? Od kleryka Pessiny żądał wytłomaczenia wszystkich obrzędów, pytał się, dlaczego zmarłego obleczono w komżę i stułę, dlaczego w ręce włożono mu książkę, krucyfiks i różaniec? Mnie się zdawało, że wytłomaczenie tych szczegółów podziałało uspokajająco na jego gwałtowne usposobienie. Trzeba rzeczywiście ufać, iż śmierć X. Trawersy przyczyni się do zbliżenia coraz ściślejszego Bororów do chrześcijaństwa.

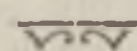
Dnia następnego po Mszy św., w ubożuchnej trumnie, która bodaj czy zasługiwała na tę nazwę, odprowadzono nieboszczyka na cmentarz; towarzyszyło mu jakie 60 Indyan, wszyscy, którzy tylko mieli czem odziać się. Był to pierwszy kapłan, co zmarł w Matto Grosso, w pośród Bororów. Jakby się przy tej okazyi była przydała większa uroczystość pogrzebowa z kapelą i śpiewem! Bororowie nie posiadają, rzec można, innego obrzędu religijnego, jak tylko potężnie rozwinięty kult zmarłych (*Aroe*) i zabobonną wiarę w ich *Barów*. Kult nieboszczyków wyciska swe piętno na wszystkich ich czynnościach społecznych, na ich wyprawach łowczych, na połowie ryb, na wspólnych ucztach, śpiewach.... a śmierci Borora towarzyszy czasem przez całe 15 dni cały szereg niekończących się obrzędów religijnych ze śpiewem, ceremoniami, tańcem, zapasami ecc. Owszem, zarzucają cywilizowanym, iż oni nie mają żadnej czci dla swoich zmarłych.

Owoż tedy taki uroczysty obrzęd pogrzebowy, jakże zbawiennie byłby podziałał na one umysły mianowicie na młodszych, mniej odpornych na nasze zwyczaje!... Może niejeden byłby przeniósł nasze obrzędy nad te, które im narzuca dawno przyjęty zwyczaj.

Z wyjątkiem jednego wypadku, nikt dotąd z Bororów, nawet z ochrzczonych, nie mógł zostać pochowany na cmentarzu chrześcijańskim, lecz wszyscy musieli zstąpić do *Zatoki dusz*.

Ale myśmy nie byli w stanie uczynić więcej; brakowało nam nawet paramentów. W całości były tylko dwie komeżki: jedną miałem ja na sobie; drugą nieboszczyk Trawersa w trumnie. Mimo tego wszystkiego orszak pogrzebowy wywarł głębokie wrażenie na duszy wszystkich Bororów.....

CHINY.



Święto garnuszkowe.

(*Z pamiętników naszych Misyonarzy*).

Przypatrywaliśmy się pewnego dnia, jak kilku naszych warkoczowych (1) chłopczyków krzątało się po różnych kątach podwórka, przyrządzając sobie na ognikach różne specyały z lichych ułamków chleba i innych pozostałości stołowych, wyniesionych ukradkiem z refektarza. Okazywali w tem spryt i sprawność więcej niż powszednią — stąd przyszło nam na myśl: a nużby wystawić raz na próbę ten zmysł kucharski naszych małych Chińczyków?

— Lecz jakim sposobem?

— Dajmy każdemu po kilka groszy i niech sobie urządzą obiad, jaki się każdemu najwięcej podoba. Przyda się to i do lepszego poznania ich skłonności.

— Lecz czy będą z tego zadowoleni?

— Dlaczegożby nie?

Właśnie mieliśmy urządzić wycieczkę po uroczystości św. Alojzego. Przedłożenie tej sprawy wzbudziło wśród chłopców prawdziwy szał radości. Pogromadzili się natychmiast w gromadki po pięciu lub sześciu, i każdemu

(1) Wiadomo, że wszyscy Chińczycy noszą warkocze.

została wręczona suma pieniędzy odpowiadająca mniej więcej połowie korony austryackiej.

Ale trzeba pamiętać: za tę sumę należało zakupić i ryżu i mięsa i owocu i herbaty i ciastek, a nawet i garnuszki do gotowania. Przyrzeczono im tylko drzewo jako nadetatowy dodatek do otrzymanej sumy.

Więc do dzieła! Małoletnie gminy powybierały swoich *mandarynów*, którzy z całą powagą przystąpili do roztrząsania następującego zagadnienia społeczno-ekonomicznego: jak z tej minimalnej kwoty wyprowadzić największy pożytek?

Jedyną rzeczą, która im psuła nieco szyki, owszem, która stanowiła dla nich prawdziwy ambaras, to sprawa garnuszków, które koniecznie trzeba było także kupić, bez których obejść się nie było można.

— A garnuszków jeść nie można — zauważył ten i ów z rozumniejszych.

Przyznać trzeba, że Chińczycy posiadają rzadką cnotę, która ich nie opuszcza nawet w najkrytyczniejszych chwilach w życiu: zimną krew.

Więc nieletnie gromadki przez kilka dni z rzędu nie radziły o niczem innem, jak tylko o tem, jak z drobnej sumy 2 ½ korony zaopatrzyć w obiad pięć osób. Tylko te nieszczęsne garnuszki zdawały się wysadzać cokolwiek z równowagi obradujących.

Ale X. Dyrektor był nieugięty:

— Musicie sobie zakupić także rondelki, garnuszki....

W przeddzień wycieczki *mandarynkowie* wyruszyli na miasto dla zakupu. Nie dowierzali żadnemu ekonomowi — bo nużeby ich okpiono? A krom tego zagrzewała ich jeszcze inna rzecz: pozakładali się, kto z nich zakupi najlepsze rzeczy.

Jeden z pierwszych wpadł na szczęśliwą myśl zakupienia kurczątka, drudzy nie chcieli pozostać w tyle za innymi i niebawem zobaczyliśmy na naszem podwórku małe stadko kurcząt.

Najukochańszy Ojcze, należałoby mi przerwać to błahe opowiadanie; ale wiem, jak X. Bosko potrafił ożywiać i nadawać wielkiego znaczenia rzeczom najdrobniejszym; dla niego wycieczka ze swoimi chłopcami na świat Boży miała znaczenie czegoś więcej, aniżeli prostego ćwicznia sportowego. Więc i ja prowadzę dalej moją rzecz.

Ciekawe widowisko przedstawiał wymarsz z zakładu. Trzeba było widzieć naszych chłopczyków: pomimo komicznego warkoczyka wyglądali wszyscy jak mali rycerze w pełnem uzbrojeniu wojennem, bo opakowani od stóp do głów wiązankami, koszyczkami, kobiałkami, niby gromada emigrantów, wybierających się za morze. Ludność wyzierała z okien, ciekawsi wychodzili na ulice, by się z blizka popatrzyć temu niewidzianemu dotąd widowisku.

Przedostawszy się na wyspę Lapę, pokierowaliśmy nasze kroki ku czarownemu parowu między dwiema górami, gdzie z rykiem spływa wielki i wartki potok górski z kryształową wodą, gdzie sterczące nad głowami skały chronią od skwaru słońca, a całe otoczenie tchnie świeżością i ożywia zielenią.

Pod obszernym dachem stało 12 stołów kamiennych, które gospodarz oddał do dyspozycyi pierwszych zdobywców. Tutaj zostały złożone wszelkie tłómoczki, a nastała ruchliwa, gorączkowa praca koło zaimprowizowania piecyków kamiennych do gotowania.

Garnuszki były!... Nie przesadzam — te małe warkoczyki krzątały się tak sprawnie, obrabiały każdy swoją część z taką znajomością rzeczy, że w jednej chwili kurczęta były obrane z pierza, pocięte i przyprawione: dokoła począł się niebawem rozchodzić zapach najróżniejszych sosów i przypraw.

Mówią tam w Europie, że Chińczyk zje lada co, nawet rzeczy najwstrętniejsze w świecie. Myśmy natomiast zauważyli coś wręcz przeciwnego. Ja chciałem zrobić małe studyum nad nomenklaturą chińską, więc z ołówkiem w palcach począłem obchodzić kuchcikujące gromadki i spisywać rodzaje i gatunki potraw i przypraw; ale gdym doszedł do 50, schowałem ołówek, nie mogąc wyjść z podziwu nad taką znajomością sztuki kucharskiej u tych nieletnich dyletantów. Nikt nie stał nieczynny, a na obiad każda gmina miała tę pociechę, że zobaczyła przed sobą stół zastawiony conajmniej dziesięciorakiemi potrawami...

Był to owoc ich zabiegów, więc cieszyli się też nim z całego serca, a wpierw nie omieszkali zaofiarować grzecznie Przełożonym z każdej potrawy jakiś kąsek do skosztowania. Wesołość panowała najserdeczniejsza, mianowcie, gdy pod koniec obiadu obfite resztki potraw rozdano ubogim, którzy zbiegli się naokoło naszego obozowiska, przynęceni wrzawą i zapachem. Tym sposobem uczynek miłosierdzia rozbudził jeszcze więcej powszechną wesołość.

A garnuszki? Zostały troskliwie zachowane do innych podobnych okazyi. Bo istniały dwa surowe zakazy: *Nie nabywać wina ni likierów, nie tłuc garnuszków*. Niechże mi jeszcze wolno będzie dodać, kochany Ojcze, że ta szczególna uczta rozbudziła nawet żyłkę poetyczną... Jeden wisus wygadany i rozgarnięty, postanowił jakimbądź kosztem wznieść toast na cześć X. Dyrektora. Więc wśród powszechnego zdziwienia powstał pod koniec obiadu i zaczął swoją rzecz następującemi słowami:

„Go italia maniera fallar, muito comer, hotó funhei. Siamo contenti. Rezar muito per te. Viva Tonka.

Co się tłomaczy tak:

Ja przemawiać po włosku, wiele jeść, wiele radości. Jesteśmy zadowoleni. Wiele się za Ciebie modlić. Niech żyje X. Dyrektor.

Był to makaronizm złożony z mowy chińskiej, portugalskiej i włoskiej, pomysłu oryginalnego samego autora, który doskonale przyczynił się do podniesienia wesołego nastroju kompanii.

Po południu wyprowadziliśmy warkoczyki na przechadzkę, na zielone stoki gór.

Cała wycieczka udała się, dzięki Bogu, jak najlepiej; jeden tylko wypadek zachmurzył na chwilkę pogodne oblicze wycieczkowiczów. Właśnie w chwili, gdy cała gromada chłopców wstępowała z powrotem w progi domowe, garnuszki, które z całą uwagą jako najdroższy skarb niósł jeden z chłopaków, wysypały się nagle wszystkie na ziemię i potłukły na kawałki! Gromada w śmiech, ale biednemu chłopcu, na widok niepowetowanej straty, stanęły łzy w oczach. X. Dyrektor nie omieszkał pocieszyć coprędzej biedaka: Nie trać humoru, mój drogi, tak się ozwał do chłopca, na inny raz postaram się ja sam o zakupno garnuszków.

I dwie brylantowe łezki zniknęły, pogodny uśmiech zaigrał na licach uspokojonego chłopczyka, serduszko zadygotało swobodniej — my zaś nie mogliśmy nie zawołać z rozrzewnieniem:

— Jakże słodką jest radość służących Bogu z weselem.

X. Jan Fergnani.



WIGO (Hiszpania) — Marynarze niemieccy powracają ze Mszy świętej.

Ziemie Magielańskie.



Fuegińska wiedza ludowa (Folklor).

W dawniejszych czasach nie zważano wiele na zbiór wiadomości, jakie sobie dany lud wyrobił własnemi siłami, bez wpływu innych, więcej cywilizowanych. Legendy, baśnie, podania, wierzenia takiego ludu, stojącego na najniższym stopniu oświaty, badano tylko o tyle, o ile to wzbudzało ciekawość i zaspakajało umysły.

Inaczej w naszych czasach. Dziś folk-lore — wiedza ludowa, nie jest uważana za zbiór baśni i plotek ludowych, ale za przedmiot bardzo poważnych studyów, które mogą oddać nieocenione usługi innym gałęziom umiejętności ludzkiej, jak na przykład, przyczynić się do wykazania, że wszystkie rasy ludzkie pochodzą od jednego pra-człowieka. Wiele tak zwanych mitów czyli wierzeń religijnych, jeżeli je się obierze ze wszystkich fantastycznych przeróbek, stają się podobne do mitów innych ludów i wykazują wspólne pochodzenie z jednego a tego samego źródła czyli objawienia.

Niniejsze notatki są króciuchnym wyciągiem z cennej monografii X. Cojazzi'ego p. t.: Gli Indi dell'Arcipelago Fueghino (Indyanie archipelagu Ziemi Ognistej). Monografia ta została opracowana na podstawie sprawozdań z Misyi, ogłaszanych w Wiadomościach Salezyańskich, na podstawie materyału rzeczowego w Muzeum misyjnem w Valsalice (pod Turynem), oraz notatek profesora A. Tonelli'ego, księdza Salezyanina, który odbył długą podróż naukową po krainach Południowej Ameryki.

Religia w ogólności.

Wskutek trudności językowych i wrodzonej małomowności ludzi ze szczepu Onas, sądzono przez długi czas, że lud ten jest na wskroś pozbawiony wszelkiego zmysłu religijnego i że nie posiada żadnych praktyk, odnoszących się do kultu jakiegokolwiek. I przyzwyczajono się tak dalece do twierdzenia, że Onas, to szczep bez religii, a zatem i bez moralności; twierdzenie zmylone dla braku dostatecznych poszukiwań i dla przedwczesnego wnioskowania z przesłanek niezupełnie sprawdzonych.

Ci, co twierdzili i dziś jeszcze przypisują Onasom bezreligijność, mieliby może słuszność, gdyby religijność danego ludu polegała na znajomości i wierze w Boga, jako początek wszechrzeczy. Tymczasem religijność jakiegoś ludu jest dostatecznie stwierdzoną, jeżeli on posiada wierzenia i praktyki, które wyraźnie wskazują, że wierzy w coś poza tym światem, w jakieś istnienie pozagrobowe, w jakiś świat duchów. Otóż Onasowie wierzą właśnie w sposób całkiem wyraźny w istnienie, w przeobrażenie i w nieśmiertelność dusz (*men-cień*), w byt przyjemny i bolesny po śmierci ciała, w dość zawiły system mitologiczny.

Po otrzymanych przez Misyonarzy naukach katechizmowych, Onasowie oznaczyli pojęcie Boga takim złożonym wyrazem: *Schon-kon* (*niebo-mieszkać*).

Mity i zabobony.

Onasowie posiadają cały szereg podań mitologicznych, zapomocą których starają się wytłómaczyć sobie zjawiska w przyrodzie i rzeczy, k óre ich otaczają.

Siedząc na skórze guanaka naokoło ognia, opowiadają oni sobie swoje podania mową w najwyższym stopniu powolną i rozwlekłą, używając tysiącznych słów i określeń na wyrażenie rzeczy, którąby się dała wypowiedzieć w kilku słowach. Często w toku opowiadania przerywają sobie pytając obecnych, czy tak opowiadali starzy ludzie, bo robią sobie poważne skrupuły, by nic nie zmienić w tych podaniach.

Gwiazdy i konstellacye. — Znają się bardzo dobrze na gwiazdach, nazywają je Theel, a z ich położenia potrafią oznaczyć pory roku i godziny nocne. Dla nich konstellacye są rodzinami, w których umieją rozpoznać ojca, (od którego cała konstellacya bierze nazwę), żonę i dzieci, któremi są gwiazdy najmniejsze. Tak na przykład konstellacya Kuanip jest najważniejszą dla nich, bo na niej opiera się cała mitologia Onasów. Najciekawszą rzeczą jest historya Kuanipa, bohatera, który dał nazwę konstellacyi.

Kuanip. — Ponieważ ten mit wkracza po trosze we wszy-tkie podania i wierzenia Onasów, wypada poznać go natychmiast w jego bohatersk ch wyprawach. O nim mówi sprawozdanie przesłane nam przez Misyonarza Jana Zenona, (Puntarenas, 17 s'ycznia 1911). Podajemy w całej prostocie, ak zostało opowiedziane przez Indyanina Minkio Kausel, który przed opowiadaniem zastrzegł sobie stanowczo cztery następujące rzeczy: Kausel, mój ojciec, uczył wszystkich Indyan; — on znał wszystkie rzeczy przeszłe; — rzeczy te miał on wyryte w głowie i nic więcej; — ja wiem wiele słów wypowiedzianych przez mego ojca.

Kuanip jest naszym bohaterem. Zrodziła go ziema, a mianowicie ona czerwona góra, opodal Harberton (cieśnina Beagle), która mu była matką i przez przylądek Kayel, który mu był ojcem. Kiedy się urodził, Indyanie się pytali:

,,Kto to jest?'' Kto go zrodził? Skąd przychodzi? — Drudzy odpowiedzieli: Zrodzony z kamienia.'' W miarę, jak podrastał, stawał się tak dziwnym, niepojętym, że Indyanie po dwakroć usiłowali go zabić. Pokusili się jeszcze po raz trzeci, aby go zabić, ale tym razem przekonali się, i to zbyt drogim okupem, że on był bohaterem, herosem. Bo gdy napinali swoje łuki, by go ugodzić strzałami w plecy, on się spostrzegł, obrócił się wstecz, zobaczył ich i zawołał; Nie

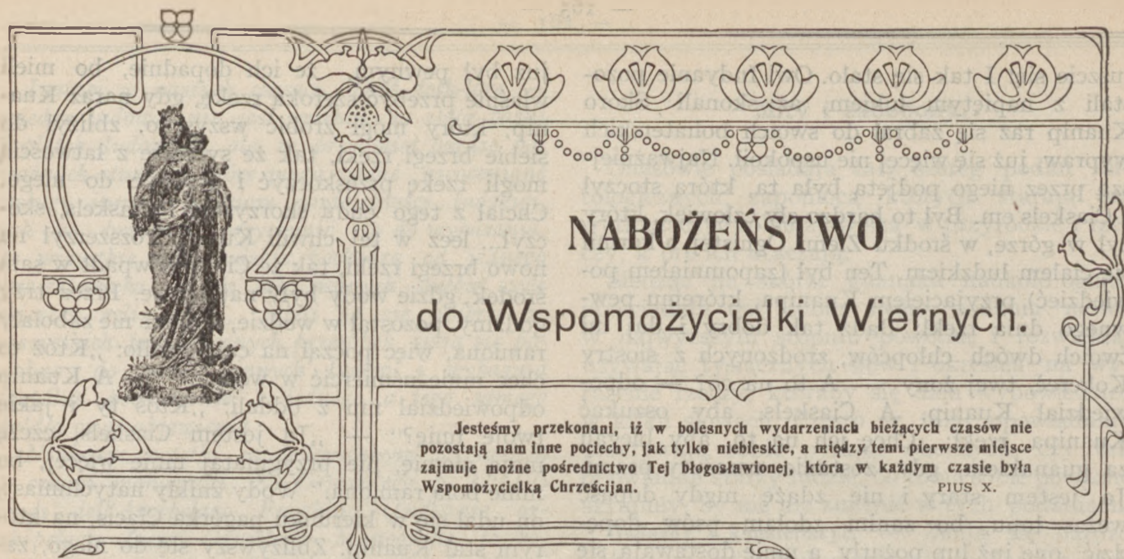
ruszcie się! I tak się stało. Owi Indyanie pozostali z napiętym łukiem, aż skonali. Skoro Kuanip raz się zabrał do swoich bohaterskich wypraw, już się więcej nie uspokoił. Najważniejszą przez niego podjętą była ta, którą stoczył z Ciaskels'em. Był to bardzo zły człowiek, który żył w górze, w środku Ziemi Ognistej, a karmił się ciałem ludzkiem. Ten był (zapomniałem powiedzieć) przyjacielem Kuanipa, któremu pewwnego dnia rzekł: Bądź tak dobry i daj mi twoich dwóch chłopców, zrodzonych z siostry Kokercê, twej żony — A to na co? — odpowiedział Kuanip. A Ciaskels, aby oszukać Kuanipa, rzekł: ,,Chcę ich na to, aby biegali za guanakiem, gdy zostanie uszczuty psami. Ja jestem stary i nie zdążę nigdy dopaść wczas łupu, bo zanim zdołam psów dopędzić, one już łup pożarły, a mnie dostawają się tylko same kości." Kuanip oddał mu tedy dwóch synów, ale tylko na dwa lata, po których udał się do chaty Ciaskelsa, aby ich odebrać napowrót. Gospodarz był na polowaniu na guanaka, ale chłopcy znajdowali się w domu. ,,Czem się żywi ten człowiek," zapytał się jednego z chłopców?— Żywi się gnojem i ludźmi, odpowiedział chłopiec; w rzeczy samej chłopcy mieli ręce powalane gnojem, bo musieli czyścić wnętrzności ludzi, których Ciaskels zabijał. Wtenczas Kuanip rozgniewany zawołał: Gdzie jest siostra Ciaskelsa? — Jest tam na górze, gdzie robi namioty ze skór ludzkich i zbiera ich włosy. — Przynieście mi tutaj krzemień. — Gdy mu go przynieśli, potarł go rękami, rzucił na ziemię i rzekł: ,,Ja rozkazuję wszystkim rzeczom: niech z tego krzemienia już nigdy ogień nie wychodzi i tak niechaj umrze ten bezbożnik!" I rzeczywiście z krzemienia już nigdy więcej iskra nie wypadła. Gdy Kuanip zabierał się do odejścia, chłopcy go błagali, aby ich zabrał ze sobą, ale on nie zgodził się na to, lecz powiedział: ,,Nie wypada, byście teraz poszli zemną, gdyż ten barbarzyniec gotów mi dokuczyć, gdyby was nie zastał w domu. Ale uczyńcie, co wam poradzę: ilekroć was pośle po drzewo, wypełnijcie jego rozkaz niezwłocznie, lecz za każdym razem udawajcie się coraz dalej. Ja będę się znajdował na pagórku, zwanym Ciacis; czwartego razu porzućcie wasze wiązki drzewa, a udajcie się do mnie." I tak się stało: pewnego dnia chłopcy porzucili drzewo i uciekli do ojca. Ciaskels, skoro to tylko zauważył, puścił się za nimi w pogoń wraz ze swoim najsprawniejszym psem, już był pewnym, że ich dopadnie, bo mieli właśnie przebyć szeroką rzekę, gdy naraz Kuanip, który mógł zrobić wszystko, zbliżył do siebie brzegi rzeki, tak że synowie z łatwością mogli rzekę przeskoczyć i przybyć do niego. Chciał z tego cudu skorzystać i Ciaskels, skoczył... lecz w tej chwili Kuanip rozszerzył na nowo brzegi rzeki, tak że Ciaskels wpadł w sam środek, gdzie wody były najgłębsze. Przez trzy godziny pozostał w wodzie, dopóki nie zabolały ramiona, więc począł na całe gardło: ,,Któż to chce mnie uśmiercić w wodzie?" — A Kuanip odpowiedział mu z oddali: ,,Ktoś ty i jakie twoje imię?" — ,,Ja jestem Ciaskels, czczę moją ziemię, nie przygniataj mnie więcej, bo mnie bolą ramiona." Wody znikły natychmiast, on udał się w kierunku pagórka Ciacis, na którym stał Kuanip. Zbliżywszy się do niego, zapytał: ,,Coś ty uczynił z wodą? Dlaczegoś mi nie dał powstać?" — A Kuanip na to: ,,Tak zrobiłem, bo tak mi się podobało; ale ty stań prosto." — ,,Nie mogę, odrzekł Ciaskels, ale ty postaw twoje nogi na moich ramionach, bo ja jestem zmęczony od szamotania się z wodą i pozbawiony wszystkiej swojej siły."

Wtenczas Kuanip rzekł stojącemu tuż przy nim bratu: ,,Lepiej będzię, że ty postawisz twoje nogi na ramionach Ciaskelsa." Tak powiedział, a jednocześnie sprawił, że nogi brata zamieniły się w noże. Brat wskoczył na ramiona Ciaskelsa i rozkroił go na trzy części, na które synowie Kuanipa poczęli teraz zaciekle rzucać z proc kamienie. Z oczu umierającego wyszły dwa komary, jeden zwany i-i-i, drugi doj-doj. Kuanipa jeszcze nie zadowolił ten wymiar sprawiedliwości, lecz posłał pięciu ludzi, ażeby zabili siostrę Ciaskelsa. Ażeby się zaś nie spostrzegła o zbliżaniu się przybyłych, ani też nie słyszano jej krzyku i jęku, rozkazał wszystkim ptakom, aby się zleciały naokoło jej domu i tam śpiewały i skrzeczały. Wysłani ludzie znaleźli ją zajętą oprawianiem skór ludzkich i poczęli ją razić strzałami, aż ją zabili. Zanim atoli skonała, pomówiła z Kuanipem i żądała: ,,Spal wszystkie moje kości!" — Tak się też stało, poczem jej dusza (men) zjawiła się Kuanipowi, który ją zapytał: ,,Jak idą rzeczy tam za grobem?"

,,Dobrze — odpowiedziała tamta — za grobem lepiej niż tu na ziemi; widoki piękne, choroby żadnej niema." — Wtenczas to Kuanip opuścił Ziemię Ognistą; żeby sobie żyć lepiej, stał się oną czerwoną gwiazdą, która świeci w nocy.

(C. d. n.)

* *



NABOŻEŃSTWO do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

Prowadź nas Matko!

Matko nasza, Przewodniczko nasza, Wspomożenie nasze, prowadź nas! Postanowiliśmy kroczyć drogą, która prowadzi do Twego Syna, do naszej Ojczyzny niebieskiej, ale Ty wiesz, o Matko, że droga ta, trudna, ciernista, ciasna i mało jest tych, co się nią puszczają. A jednak my chcemy nią postępować, bo biada nam, gdybyśmy zeszli na szeroki gościniec, którym postępują synowie tego świata! Choć trudna, jednak pragniemy na niej wytrwać, a otuchy dodaje nam myśl, że Ty nam będziesz świeciła jako Gwiazda przewodnia, że Ty rozproszysz wszelkie ciemności duszne, Ty wesprzesz nas w słabości naszej, Ty pocieszysz w smutkach i utrapieniach ducha.

W tym miesiącu poświęconym czci Najsłodszego Serca Jezusa, Twego Syna, pragniemy chyżej niż dotąd spieszyć tą drogą, goręcej niżeli dotąd pożądać całkowitego zjednoczenia z Boskim Synem Twoim. Pragniemy pokochać całą duszą to Boskie Serce, które nas pierw umiłowało, a umiłowało aż do podjęcia śmierci krzyżowej. Ty o Matko nasza, naucz nas kochać jak należy, wszak Ty jedna ukochałaś Je tak, jak Ono na to zasługuje. Naucz nas kochać to Serce najmiłościwsze, bo wiemy, że jeśli je ukochamy całem sercem i gorąco, to nic na świecie nie zdoła nam już zamącić szczęścia i spokoju duszy. A więc prowadź nas Matko ukochana! Niechaj nas ani codzienne prace nie odrywają od miłości Pana Jezusa, ani rozliczne roztargnienia nie przeszkadzają myśleć o tem, jakby Mu się coraz więcej przypodobać. W tej właśnie intencyi zupełnego przypodobania się Boskiemu Sercu Twojego Syna ofiarujemy Mu od tej chwili przez Twoje przenajśw. ręce wszystkie nasze sprawy, zabiegi, trudy, kłopoty, zawody.... wszystko, wszystko Jemu ofiarujemy, wszystko pragniemy czynić li tylko z czystą intencyą pomnożenia Jego czci i miłości tu na ziemi. Oby wszyscy ludzie na całej kuli ziemskiej uznali Go za jedyny przedmiot, godny ludzkiej miłości! Oto nasze końcowe i najgorętsze pragnienia, a Ty, o Matko nasza, prowadź nas tak, ażebyśmy się mogli wedle sił naszych przyczynić do ich spełnienia.

Łaski Maryi Wspomożycielki.

W ubiegłym miesiącu grudniu córeczka nasza Stanisława zachorowała po raz trzeci na zapalenie płuc. My rodzice, ufając w dobroć Najśw. Maryi Panny Wspomożenia wiernych, dzięki której trzy lata temu córeczka nasza już raz wyzdrowiała z tej ciężkiej choroby, postanowiliśmy przesłać XX. Salezyanom ofiarę na odprawienie Nowenny przed cudownym Obrazem Matki Boskiej, Wspomżycielki wiernych. Jednocześnie rozpoczęliśmy sami Nowennę do tej naszej Matki i Królowej Niebios, błagając Ją o zdrowie dla naszego dziecka. I o dziwo! Po odprawieniu przez nas Nowenny i odebraniu listu od Przełożonego Zakładu Salezyańskiego, córeczka powstała zdrowa z nieszczęsnej choroby i dz siaj rozwesela cały dom nasz — za co z głębi serca ślemy tej naszej najukochańszej Matce i Wspomożycielce najgorętsze dzięki naszego serca.

Osada Mazowieck, 5. 4. 11.

Józef Dworakowski.

***

Odkąd zacząłem być gorliwym Pomocnikiem Salezyańskim, doznaję wiele łask od Maryi Wspomożycielki. Jedna z nich, to następująca.

Zachorowało mi dziecko tak ciężko, że już nie dawało po sobie żadnego znaku życia. W wiel-

kiem mojem strapieniu udaję się do Najsłodszego Serca P. J. i do pośrednictwa Maryi Wspomożycielki wiernych. Po gorącej modlitwie spoglądam na dziecko i ku wielkiej radości mego serca widzę, że ono poczyna się ruszać i budzić do życia. Przejęty najgłębszą wdzięcznością dla Najsłodszego Serca Jezusowego i Maryi Wspomożycielki, składam im publicznie serdeczne podziękowanie, aby i czytelników *Wiadomości Salezyańskich* zachęcić do ufności i nabożeństwa do Serca Jezusowego i do Maryi Wspomożycielki.

Czersk, 9. 3. 11.

WOJCIECH PRILL.

***

Najpokorniej proszę umieścić we Wiadomościach Salezyańskich niniejsze publiczne podziękowanie za łaskę otrzymaną za pośrednictwem Królowej nieba i ziemi. Syn mój 15-letni spadł z konia i złamał nogę. W tem przykrem położeniu, bojąc się, aby z rany nie wytworzyła się gangrena (byłoto bowiem w porze upałów), udałem się do tej Królowej niebieskiej a Wspomożycielki naszej, prosząc Ją, ażeby Ona była Lekarką mojego chłopca, i przyrzekając, że ogłoszę uzdrowienie we Wiadomościach Salezyańskich i prześlę ofiarę na kościół oświęcimski. Matka Boska nie zawiodła mej ufności, więc i ja wywiązuję się z danego przyrzeczenia i przesyłam obiecaną ofiarę, prosząc zarazem o ogłoszenie łaski w Piśmie Salezyańskiem.

Proszę także o umieszczenie tej drugiej wielkiej łaski, którą otrzymałem podczas choroby mej żony. Zachorowała ona tak ciężko, że straciłem nadzieję jej wyzdrowienia. W przeddzień przybycia kapłana, który miał posilić chorą Ciałem i Krwią Pańską, sercem mojem poczęła targać rozpacz, gdym spoglądał na siedmioro dziatek, które miały wkrótce zostać bez matki. W przygnębieniu mojem padłem z dziećmi na kolana przed obrazem Matki Boskiej i błagałem ją o uzdrowienie mej żony, przyrzekając w razie wysłuchania, ogłosić łaskę we Wiadomościach Salezyańskich. W rzeczy samej po przyjęciu Sakramentów św. chorej polepszyło się znacznie i dziś jest już zupełnie zdrową.

Przesyłam więc wedle przyrzeczenia ofiarę na potrzeby Zakładu oświęcimskiego i proszę o umieszczenie tej łaski we Wiadomościach.

São Feliciano (Brazylia).

FRANCISZEK NĘDZUSIAK.

***

Z tejże samej miejscowości S. Feliciano p. Józefa Łuczak dziękuje za ulgę w bardzo ciężkiej i strasznej chorobie, wskutek której żyły się pokurczyły w nogach, lecz obecnie polepszyło jej się do tego stopnia, że może zarządzać rodziną. Więc wdzięczna za tę ulgę, ufa, że Matka Boska udzieli jej siły do zniesienia cierpień, jakie pozostały po owej strasznej chorobie i przesyła 4 *milrajsy na potrzeby Zakładu oświęcimskiego.*

***

Matce Najśw. Wspomożeniu wiernych i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu wyrażamy publiczne podziękowanie za pomoc nam udzieloną w następującej sprawie.

Zaczęliśmy budować kościół i prace zostały posunięte znacznie naprzód, gdy nagle wyłoniły się różne trudności, wskutek których musiano budowę zaprzestać. W tem zmartwieniu udaliśmy się do Matki Boskiej Wspomożycielki wiernych, a skorośmy tylko zamówili Nowennę do Niej i do Najsłodszego Serca Jej Syna, Jezusa, wszystkie trudności zostały usunięte, a przeszkody wyszły jeszcze na naszą korzyść.

Kilku członków z gminy N.

***

Przed kilku tygodniami córka nasza zachorowała tak niebezpiecznie, że lekarze zwątpili o jej wyleczeniu. My przeto oddawszy ją opiece Maryi Wspomożycielki, modliliśmy się gorąco do tej niebieskiej Lekarki, by nas pocieszyła w tym smutku i uratowała córkę naszą od śmierci. Obiecałem także, że jeżeli wyzdrowieje, to prześlę ofiarę dziękczynną na cele Salezyańskie i dam łaskę otrzymaną ogłosić we Wiadomościach Salezyańskich. Od tejże chwili choroba poczęła opadać, córka poczęła wracać do sił i dziś jest już zupełnie zdrowa i tak silna, jak się czuła przed chorobą.

Przybysławice (Królestwo Polskie), 20. 3. 11.

JAN KUROWSKI.

***

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, składam nieskończone dzięki Matce Boskiej Wspomożeniu wiernych i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za wszystkie dotąd odebrane łaski, a w szczególności za łaskę uzdrowienia mego ojca i małego synka naszego sąsiada, który już był bez nadziei powrotu do życia. Żal mi się zrobiło biednych rodziców Stachusia, więc westchnęłam gorąco i serdecznie do Matki naszej, Wspomożycielki wiernych chrześcijan, prosząc o ratunek. A Matka Boska nie zawiodła mej ufności: dziś mały Stachuś jest już zdrów i wesół.

Strojno, 18. 3. 11.

L. ANDRZEJEWSKA.

***

Ciężkie zmartwienie przycisnęło mą duszę, gdy zostałam zagrożona wielką stratą w moich interesach. Lecz od ostatecznej straty uratowało mnie Najmiłościwsze Serce naszego Zbawiciela i Marya Wspomożenie wiernych, do której udawałam się w gorącej modlitwie.

Przemyśl, 2. 3. 11.

MARYA HILD.

***

Składam serdeczne podziękowanie Matce Najświętszej i św. Antoniemu za kilkakrotne uzdrowienie mego synka, gdym westchnęła do Matki Najświętszej i ślubowała przesłać na Ofiarę dziękczynną i dać ogłosić łaskę we Wiadomościach Salezyańskich. Również składam podziękowanie za wiele innych łask otrzymanych od naszej Matki niebieskiej, która nikogo nie opuszcza i nikim nie gardzi.

Jej opiece polecam nadal siebie i dzieci moje.

Sieniawa, 7. 3. 11.

CECYLIA GŁOWA.

***

Będąc ciężko chorą, za poradą mej siostry udałam się w modlitwie do M. B. Wspomożycielki wiernych, a jednocześnie zamówiłam Mszę św. celem uzyskania pożądanej łaski, którą obiecałam także ogłosić we Wiadomościach Salezyańskich. Chwała Ci, o Maryo! bo natychmiast uczułam polepszenie, którego pierwej pomimo zabiegów lekarskich nie było. Dziś cieszę się zdrowiem i składam najserdeczniejsze podziękowanie Maryi Wspomożeniu wiernych. Ogłaszam tę łaskę ku zbudowaniu i zachęcie tych, co pozostają w ciężkich potrzebach.

Brzoza stadnicka, 24. 3. 11.

ANTONINA PŁOSZAJ.

***

Od trzech lat cierpiałam na ból w krzyżach, który wbrew wszelkim środkom lekarskim wzmagał się coraz więcej, tak że wkońcu musiałam się udać do kliniki i poddać operacyi. Żegnając się z mężem i dziećmi, prosiłam go, aby zechciał przesłać na Mszę św. do Oświęcimia; sama też poleciłam się opiece tej Lekarki niebieskiej. Na razie prośba moja zdawała się bez skutku, lecz ja nie ustawałam w mojej ufności i coraz goręcej prosiłam Matkę najświętszą o wyzdrowienie, obiecując, że prześlę ofiarę dziękczynną, a otrzymaną łaskę dam ogłosić we Wiadomościach Salezyańskich. I Matka Boska wysłuchała mnie: polepszyło mi się natychmiast i dziś jestem na drodze do zupełnego wyzdrowienia. Wywięzuję się tedy z danego przyrzeczenia i ogłaszam publicznie niniejszą łaskę: niechaj świat cały wie, że Matka Boska nie opuszcza tych, co się do Niej uciekają, a ktokolwiek się znajduje w jakiem zmartwieniu, niechaj z ufnością udaje się do tej niebieskiej Mateńki, a zawiedzion nie będzie.

Dolina, 13. 3. 11.

JÓZEFINA KORAPECKA.

***

Wywięzując się z danego przyrzeczenia, składam nieskończone dzięki N. M. P. Wspomożeniu wiernych za uzdrowienie chorej córeczki i przesyłam skromny datek na cele Salezyańskie, prosząc Najśw. Pannę o dalszą opiekę.

Leszno, 25. 3. 11.

JADWIGA PUTIATYCKA.

***

Czteroletniemu synkowi naszemu została rączka wkręcona w maszynę, połamana, a co gorsza, zmiażdżona tak, że wytworzyła się gangrena i lekarz sądził napewno, że dziecko postrada całą rączkę. Zaczęliśmy odprawiać Nowennę do Matki Boskiej Nieustającej Pomocy i ślubowaliśmy przesłać 50 marek na cele dobroczynne. Matka Najśw. pomogła tak, że dziecko straciło tylko jeden paluszek; sam lekarz powiadał, że to cud Boski, że gangrena nie postąpiła dalej. Synek nie ma jeszcze władzy w niektórych palcach, ale lekarz twierdzi, że niebawem ją odzyska. Dziękując Panu Jezusowi za tę łaskę udzieloną nam za przyczyną Matki jego Bolesnej, prosimy Go, aby dokończył dzieła i uzdrowił zupełnie rączkę naszemu dziecku.

Lipnica, 7. 4. 1911.

BOLESŁAW I ANIELA MACIEJEWSCY.

***

Prosimy o umieszczenie we Wiadomościach Salezyańskich następującego podziękowania za cudowne uzdrowienie dziecka z ciężkiej choroby. Córeczka nasza czteroletnia ciężko zachorowała na zapalenie płuc. Nie było już żadnej pomocy ni nadziei w ziemskich lekarzach, więc ufni w nieprzebraną dobroć ukochanej Wspomożycielki wiernych, poleciliśmy dziecko tej najmiłościwszej Matce i poczęliśmy do Niej odprawiać Nowennę. Jednocześnie przyrzekliśmy, że jeżeli prośba nasza zostanie wysłuchaną, to ogłosimy ją publicznie w Wiadomościach Salezyańskich. Wdzięczni za otrzymaną łaskę, spełniamy z radością nasze przyrzeczenie, dziękując pokornie najlitościwszej Wspomożycielce za Jej dobroć i przesyłając ofiarę na Mszę św. dziękczynną.

Łasin, 4. 4. 1911.

STANISŁAW I ZOFIA WROŃSCY.

* * *

Wywięzując się z danego przyrzeczenia, dziękuję Najśw. Sercu Jezusowemu i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu wiernych za przywrócenie zdrowia. W ciężkiej chorobie dołka podsercowego, w której lekarz nie mógł mi dać żadnej ulgi, udałam się o pomoc do Najśw. Serca Jezusowego i do Maryi Wspomożycielki wiernych, obiecując, iż jeżeli przez cały jeden rok choroba się nie pojawi, to ogłoszę to jako łaskę otrzymaną. Rok dawno już minął, jam się nie kwapiła z podziękowaniem, aż choroba poczynała wracać na nowo. Lecz dzięki Matce najmiłościwszej, skorom tylko rozpoczęła Nowennę do Niej, polepszyło mi się natychmiast i teraz nie zwlekając dłużej, dziękuję publiczne za to dobrodziejstwo i przesyłam skromną ofiarę, gdyż na więcej mnie nie stać.

Niedary, 7. 4. 1911.

MARYANNA ROGULLA.

* * *

Już od dłuższego czasu zabieram się do ogłoszenia w Wiadomościach Salezyańskich podziękowania za otrzymanie pewnej, dla mnie bardzo ważnej łaski, za przyczyną Najśw. M. P. W. W. z tem szczerem pragnieniem, by wszyscy, którzy się znajdują w jakiej potrzebie, uciekali się do pośrednictwa tej Matki naszej niebieskiej.

Zarazem proszę Wieleb. XX. Salezyanów o odprawienie wraz z dziatwą Nowenny w pewnej mojej intencyi.

Dziurów, 20. 4. 1911.

MARYA ZAWADZKA,
nauczycielka.

* * *

Donoszę WW. XX. radosną nowinę, że od czasu, jak złożyłam ofiarę, choroba oczu córki naszej już się nie ponowiła, nawet w tych miesiącach, w których zwyczajnie powracała. Jestem tej myśli, że P. Bóg wysłuchał nasze prośby. Życzę sobie należeć do Związku Pomocników Salezyańskich wraz z całą rodziną i starać się będę wedle możności wspierać Dzieła X. Bosko.

Szamotuły, 6. 3. 1911.

FRANCISZKA DOLACIŃSKA.

* * *

Pozwoliłem się przez niecnych ludzi zawikłać w sprawy doczesne tak ryzykowne, że po niejakim czasie znalazłem się zrujnowany na mieniu



NOWY YORK (Ameryka Północna) — Towarzystwo św. Alojzego Gonzagi.

i skazany na to, by z całą rodziną pójść o żebraczym chlebie. Stan mój był rozpaczliwy; odchodziłem prawie od rozumu. Ale Matka Boska pocieszyła mnie i P. Bóg tak wszystkiem pokierował, żem został wybawiony od ostatecznej zguby. Niech to Redakcya ogłosi we Wiadomościach, bo zapewniam, iż to prawdziwy cud dobrodziejstwa Bożego, który mi wyjednała Najśw. Marya Panna Wspomożycielka wiernych.

Królestwo P.

Józef Krawiec.

* * *

Wskutek upadku w drodze poraziłam sobie nogę, która z czasem, zamiast się polepszać, poczęła mnie boleć tak dotkliwie, żem ani stać, ani chodzić, ani siedzieć nie była w stanie. Obawiałam się kalectwa. Ślubowałam tedy Bogu, że jeżeli wyzdrowieję, to podziękuję publicznie Najświętszej Pannie, Niepokalanie Poczętej i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za otrzymaną łaskę wyzdrowienia. Z radością serca czynię to dzisiaj, dziękując za tę i za tyle innych łask otrzymanych i polecając siebie i męża nadal opiece Bożej i Matki naszej niebieskiej.

Koropiec, 23. 2. 1911.

Eugenia Hölzelhuber.

* * *

Przy końcu r. 1910 zachorowało nam dwoje dzieci bardzo niebezpiecznie na koklusz. Do ciężkich napadów kaszlu, połączonych z wymiotami, przyłączyła się gorączka. Mianowicie młodsze dziecko, 11-miesięczna Bronisia, zdawała się już dla nas straconą — przez kilka dni leżała jakby bez ducha, nie przyjmując żadnego pokarmu.

Doświadczywszy atoli niejednokrotnie przemożnej przyczyny Najśw. M. P. W. W. udaliśmy się i tym razem do Niej. Rozpoczęliśmy w tej intencyi Nowennę i poprosiliśmy o tosamo i o odprawienie Mszy św. Wielebnych XX. Salezyanów. I P. Bóg wysłuchał nas niegodnych, gdyż niebawem niebezpieczeństwo minęło, dziatki jedno za drugiem poczęły powoli ale stale powracać do sił, tak że dzisiaj już można Najsłodszemu Sercu Jezusa i Najśw. M. P. dziękować za wielką łaskę uratowania życia dwojga dziatek.

Wywięzując się z uczynionego ślubu, składamy ofiarę dziękczynną i prosimy o ogłoszenie niniejszej łaski we Wiadomościach Salezyańskich. Polecamy też każdemu, ażeby się w dolegliwościach swoich udawał do Najsłodszego Serca P. Jezusa i do Najśw. M. P. Wspomożycielki wiernych.

Łabęty, 6. 3. 1911.

Amand i Róża Morysowie.

* * *

Antonina Gładczak ze *Strzyżewka* dziękuje Matce Boskiej Wspomożycielce wiernych i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za polepszenie w ciężkiej chorobie nerwów.

Sylwestra Nizińska z *Wina*, za uzdrowienie oczu, po odprawieniu Nowenny do Najśw. M. P. Wspomożenia wiernych.

I. Biechońska za wybawienie z ciężkich udręczeń duchownych.

M. D. za pocieszenie w wielkim smutku.

* * *

Nadto dziękują Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce wiernych za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele Salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski i przemyski także następujące osoby:

Galicya: Anna Golińska, *Kraków;* Katarzyna Pajar, *Ujanowice;* Marya Pauk, *Szarzawa;* Marya Köhlerowa, nauczycielka, *Brzeżany.*

Wielkie X. Poznańskie: A. Piórek, *Bydgoszcz;* Edward i Julianna Dręczewscy, *Góra.*

Królestwo Polskie: Aleksandra Brodzińska, *Ząbkowice;* Walenty Charciarek, *Pajęczno;* Al. Łunkiewiczówna, *Wilno;* J. M. i B. Wyborowscy, *Pabjanice;* Zofia Fabiańczyk, *Wierzbie.*

Z różnych stron: Jan Satława, *Ruda* (Górny Śląsk); Marya Tadera, *Radawritz* (Prusy zach.); Eleonora Nowakowska, *Sztargard.*

SKARBIEC DUCHOWNY.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy **wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św.** odwiedzą nabożnie jaki Kościół lub Kaplicę publiczną albo, jeśli żyją wspólnie, własną Kapliczkę i tamże **pomodlą się** na intencyę Ojca św., zyskać mogą następujące **odpusty zupełne:**

a) **każdego miesiąca:**

1) w dzień, przez każdego dowolnie obrany.

2) w dzień, w którym odprawią ćwiczenie dobrej śmierci,

3) w dzień, w którym wezmą udział w konferencyi Pomocników Salezyańskich.

b) **od 1 lipca do 1 sierpnia.**

1) 2-ego lipca, w dzień Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny i Przenajdroższej Krwi Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

2) 16-ego lipca, w dzień Matki Boskiej Szkaplerznej.

Nadto: Zyskać mogą zawsze, będąc w stanie łaski (bez potrzeby nawiedzenia jakiego Kościoła lub przystąpienia do Sakramentów śś.) wszystkie odpusty stacyjne w Rzymie, Porcyunkuli, Jerozolimie i św. Jakóba w Kompostelli, jeśli odmówią *5 Ojcze nasz*, *Zdrowaś i Chwała Ojcu* za pomyślność i potrzeby Kościoła i jedno *Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* wedle intencyi Ojca św.

Wiadomości Potoczne.

Nowi Biskupi.

Ojciec św. raczył wynieść na stolicę biskupią w *Chiawari* monsignora **Jana Gamberoni'ego;** na stolicę biskupią w *Albenga* mons. **Josuè Cattarossi'ego;** oraz na stolicę tytularną w *Listri*, jako sufragana do *Katanii* monsignora **Emila Ferraris'a**, profesora seminaryum w *Weronie*.

Ponieważ wszyscy ci nowi dostojnicy Kościoła są z liczby Pomocników Salezyańskich, miło nam na tem miejscu złożyć im nasze najserdeczniejsze życzenia długiego i szczęśliwego pontyfikatu.

Wyniesienie na stolicę biskupią monsignora Gamberoni'ego zostało w Oratoryum turyńskiem powitane z największą radością, bo czcinajgodniejszy Nominat odbył gimnazyum właśnie w temże Oratoryum, kiedy jeszcze żył X. Bosko.



Wesołe Nowiny.

Dwudziestego marca b. r. odbyło się w kaplicy biskupiej w **Nowarze** pierwsze posiedzenie zwyczajnego procesu informacyjnego w sprawie Beatyfikacyi śp. X. Andrzeja Beltrami'ego, kapłana Salezyańskiego, który zmarł w Turynie (Valsalice), 30 grudnia 1897 r.

Prace koło procesu beatyfikacyjnego Wielebnego Sługi Bożego X. Jana Bosko postępują stale naprzód. W tych dniach został powołany przed trybunał kościelny w Turynie J. E. X. Biskup Pasqualis Morganti, aby złożył świadectwo o tem, co mu znane z życia X. Bosko. z którym przeżył wiele lat pospołu. Dostojny uczeń Wielebnego Jana Bosko zamieszkał w Oratoryum, przemawiał często do chłopców wychowanków, celebrował zazwyczaj przed Ołtarzem Maryi Wspomożycielki wiernych i pozostawił wśród nas miłą pamiątkę wielkiej żarliwości o chwałę Bożą i nabożeństwa do Maryi Wspomożycielki.

LUBLANA (Kraina). — Kollegium Słowieńskie obchodzi tego roku pierwsze dziesięciolecie swego istnienia. Wzniesione w celu niesienia pomocy takim zwłaszcza chłopcom, którzy dla złego zachowania lub dla innych powodów zostali z innych szkół wykluczeni, liczy obecnie 120 alumnów, uczęszczających do klas elementarnych i cieszy się sympatyą i wziętością w Austryi. Z nowym rokiem otworzyło pensyonat dla studentów niższego gimnazyum, którzy chodzą na wykłady do szkół publicznych; zajmuje się ono również kaplicą świąteczną, liczącą około 200 chłopczyków.

Wyraża się nadzieję, iż rychło powstanie druga kaplica świąteczna w środowisku miasta; wszyscy uznają tego potrzebę; zapoczątkowanie to zdaniem naszem, dałoby najlepszą pamiątkę dziesięcioletniej inauguracyi.

WIGO (Hiszpania). — Niemieccy marynarze katolicy, zeszedłszy z pokładu okrętu *Wiktoryi Elżbiety* dla zwiedzenia miasta i portu w *Wigo*, przybyli także do naszego kollegium, aby wysłuchać Mszy św. i tak zadosyćuczynić przykazaniu kościelnemu. Obecność oficerów i wyższej szarży przydała wiele uroku uroczystości św. Franciszka Salezego, a i wieczorek na cześć naszego dostojnego dobroczyńcy, X. biskupa Beja, pozostawił wiele miłych wspomnień. Jego Ekscelencya celebrował Mszę św. uroczystą dla niemieckich marynarzy w kościele kollegialnym, a współbrat nasz, X. Lampe wygłosił kazanie w ich języku. Tegoż wieczora odwzajemnił się czcinajgodniejszy X. biskup za wizytę gości i w towarzystwie kilku Salezyanów i p. Leopolda Gómez'a udał się na olbrzyma *Wiktoryi Elżbiety*. Odwiedził ich na okręcie, gdzie go przyjęto z oznakami wysokiego poważania.

PANAMA (Ameryka Środ.) — W ostatnim czasie odbył się tu wspaniały wieczorek. Uczczono nim pięćdziesięcioletni jubileusz małżeństwa szlachetnego naszego dobroczyńcy, w osobie pana Nikanore z Abarrio i godnej jego małżonki, Maryi. My z wdzięcznością podzielamy radość tej uszczęśliwionej rodziny i prosimy Boga o liczne dla niej łaski i błogosławieństwa.

Wśród dzieci ludu.

NOWY-YORK. — Znane jest powszechnie gorące pragnienie Ojca św, szczęśliwie nam panującego Piusa X, aby dzieci jak najwcześniej zostały przypuszczone do Stołu Pańskiego. Salezyanie od samego początku swego istnienia trzymali się tej zasady, bo tak im polecił ich Założyciel X. Bosko, który był przekonany, że wczesna a częsta Komunia św. nabożnie przyjęta, to najlepszy środek do podniesienia dobrych obyczajów wśród młodzieży.

W tym roku przy tutejszym kościele Przemienienia Pańskiego przygotowaliśmy 400 chłopców do pierwszej Komunii św. Uszczęśliwiona dziatwa dokonała tego aktu w niedzielę, 5-go marca. Radość jej była bez granic. Jesteśmy przekonani, iż w onej uroczystej chwili wszystkie te niewinne serduszka błogosławiły Ojcu św. za to, iż im pozwolił połączyć się tak wcześnie z P. Jezusem.

TRYEST. — Jego Eminencya X. Arcybiskup Nagl, Sufragan i mianowany Następca żyjącego X. Arcybiskupa wiedeńskiego, lubił często, będąc jeszcze Biskupem tryestyńskim, nawiedzać kaplicę świąteczną w Tryeście i otaczać się tamtejszą młodzieżą, która go też pokochała całem sercem. Najlepszym dowodem swego przywiązania do dostojnego Arcypasterza była wielka zbiorowa manifestacya, jaką młodzież mu urządziła, gdy opuszczał Tryest, aby się udać do Wiednia. Wszystka ta młódź, która jeszcze do niedawnego czasu żyła na pół dziko po różnych zaułkach i przedmieściach tryestyńskich, wysypała się na dworzec kolejowy, by z niekłamanym zapałem okazać odjeżdżającemu Ojcu swoje przywiązanie, pożegnać się z nim i okazać swe ubolewanie nad jego utratą.

Dziewiętnastego marca tenże dostojny a tak ulubiony Arcypasterz wrócił na kilka chwil do swych dzieci w Tryeście i pozostawił im dar nader wielki, bo wyświęcił im nowego Biskupa, w osobie X. Dr. Andrzeja Karlina.



LUBLANA (Kraina) — J. E. X. Biskup Karlin w otoczeniu dziatwy Salezyańskiej.

Nowemu Biskupowi dziatwa urządziła w kaplicy świątecznej piękne i uroczyste powitanie. Sama jej liczba zdolna była wzruszyć serce, bo na uroczystość zebrało się przeszło 1000 chłopczyków.

Gdy na dziedzińcu kaplicy świątecznej pojawiły się Ekscelencye, chłopcy nie mogli pohamować swego zapału i powitali dostojnych gości burzą oklasków i okrzyków, a kapela zagrała marsza powitalnego.

Dwaj X. Biskupi zajęli miejsce na podniesieniu pod gołem niebem; nastąpił szereg mów, deklamacyi, oraz małe przedstawienie dramatyczne, a wszystko z takiem życiem, z takiem uczuciem, że w sercach rodziły się najbardziej różowe nadzieje o młodzieży wychowywanej w tak serdecznem i szlachetnem otoczeniu.

CALTAGIRONA (na wyspie Sycylii). — Kaplica świąteczna i Zakład *Dominika Savio* rozwija się pomyślnie. W niedziele i święta przybywa jakie 200 chłopców, którzy już są połączeni w towarzystwa następujące: Towarzystwo św. Alojzego, św. Józefa i Kółko X. Bosko (to ostatnie dla gimnazyastów i techników).

W internacie J. E. X. Biskup De Bonq utrzymuje własnym kosztem 20 chłopców. Wogóle Zakład nasz cieszy się wielką życzliwością wielu znakomitych osobistości, mianowicie XX. Kanoników katedralnych i miejscowego X. Proboszcza.

Czcinajgodniejszy X. Arcypasterz sam często przybywa na nasze skromne święta domowe i chętnie spędza godzinkę lub dwie w otoczeniu ruchliwej młodzieży.

RZYM. — Stowarzyszenie Najśw. Serca Jezusowego tutejszej kaplicy świątecznej zorganizowało przy kościele prafialnym kursa Religii. Przy otwarciu tychże kursów czyli regularnych wykładów wypowiedział X. Conelli, Salezyanin, piękną mowę, z której warto tutaj przytoczyć najważniejsze myśli: Mowca kładł nacisk na to, że w naszych czasach młodzieniec chrześcijański potrzebuje głębokich, niewzruszonych przekonań religijnych oraz nieustraszonej odwagi, czyli innemi słowy, — potrzebuje mocnego, niezłomnego charakteru.

Charakter urabia się przez częste a skuteczne postanowienia, by kroczyć wszędzie i zawsze drogą sprawiedliwości i prawdy i dobra. Ażeby zaś być zdolnym do takich częstych i skutecznych postanowień, potrzeba jakiejś siły wewnętrznej, jakiegoś ognia w duszy, któryby człowiekowi nie pozwolił gnuśnieć, lecz ciągle parł go do czynu i ruchu. *In meditatione exardescit ignis* (*w medytacyi rozpala się ogień*), powiada Pi mo św. Tylko ten stanie się zdolnym do wysiłków woli, kto głębokiem zastanowieniem s ę nad prawdami odwiecznemi wstrząsnął aż do głębi całą swoją istotą i nie dozwala jej gnić w bezczynności i lenistwie duchownem.

Lecz ażeby módz rozmyślać głęboko nad prawdami religijnemi, potrzeba je pierw poznać: w tymto właśnie celu otwieramy wykłady religii. W nich chrześcijańska młodzież ma szukać siły moralnej nietylko do kroczenia zawsze drogą prostą, ale zarazem do pokonywania wszystkich trudności, wszystkich przeciwieństw, wszystkich przełomowych chwil w życiu — ażeby nie była podobną do młodzieży bezreligijnej, która nie jest zdolną znieść ciężkich ciosów losu i albo kończy samobójstwem, albo oddaje się życ u występnemu.

Z głębokiej znajomości prawd wiary św. i z mocnych przekonań religijnych rodzi się ten męski hart woli, ten charakter silny, niezłomny, który jest zdolny prze'rwać najgwałtowniejsze burze życiowe.

FERRARA. — **Kaplica świąteczna św. Karola.** — Święto Opiekuna Jezusowego św. Józefa obchodziliśmy w tym roku z największą uroczystością. Na rannej Mszy św. było obecnych co najmniej 300 chłopczyków, oraz członkowie kółka „*Ars et Labor*" (sztuka i praca). Mszę św. odprawił monsignor Ferretti, który miał do chłopców przemowę okolicznościową. Następnie na pięknie przystrojonym dziedzińcu zastawiono stoły do śniadania, a gdy się chłopcy posilili, rozpoczęły się różne zabawy. Po południu odbyły się uroczyste nieszpory, podczas których X. Dziekan z Mirabello wypowiedział piękne kazanie o św. Józefie. Na święto domowe przybyło wiele okolicznych Pomocników i Dobrodziejów Zakładu, którzy rozdali dziatwie wielką ilość cukierków i innych przysmaków. Pod wieczór nastąpił pierwszy występ kółka muzycznego, wyścigi piesze, wyścigi w workach, wspinanie się na pal pomyślności, potem projekcye kinomatograficzne i puszczanie balonów. W ciągu całego święta przygrywała kapela Schroniska *Umberto Primo*, a kółko śpiewackie „*Lorenzo Perosi*" wykonywało śliczne śpiewy choralne.

BIRCHIRCARA (na wyspie Malcie). — Nie upłynęło jeszcze 6 miesięcy od otwarcia naszej kaplicy świątecznej, a w tym krótkim przeciągu czasu, jakże wiele postępu!. Na obszernym dziedzińcu kipi życie w całej pełni: zabawy najróżniejszego rodzaju podtrzymują wesołość i zdrowie w więcej niż 700 chłopcach, którzy na znak dzwonka przerywają dziecinne zabawy i jak karne wojsko szykują się w rzędy — każdy rząd staje przed swoją liczbą, która wielkiemi cyframi widnieje na murach budynku. Następnie w porządku, wedle podziałów, udają się częścią do kościółka, częścią do sali przedstawień i do innych sal szkolnych na wykłady katechizmu. Tak każdego wieczora!

Jest wprost zadziwiającą dobra wola i gorliwość jakiej trzydziestki obywateli i ojców rodzin, którzy, choć zmęczeni całodzienną pracą, wieczorem, zamiast odpoczywać, udają się do naszej kaplicy, aby dozorować i ożywiać zabawy, a następnie uczyć dzieci katechizmu. Piękny to zaiste przykład do naśladowania! Gdy Jego Ekscelencya czcinajgodniejszy X. Arcybiskup Pace przybył ostatnim razem do kaplicy celem udzielenia Sakramentu Bierzmowania, nie mógł się dosyć nacieszyć tak budującem widowiskiem.

Może niejednemu wyda się dziwnym i nowym ten sposób wykładania katechizmu przez

ludzi świeckich i w tak rozdrobnionych oddziałach. Istotnie, podzieliwszy 700 chłopców między 40 katechetów, przypadnie około 17 uczni na jednego nauczyciela. Otóż trzeba wiedzieć, że X. Bosko pragnął gorąco, ażeby w jego Oratoryach wykład katechizmu nie był tylko prostą nauką, ale żeby był prawdziwą szkołą życia, to jest, żeby z takiej lekcyi chłopcy wychodzili z mocnem postanowieniem żyć coraz lepiej, doskonalić coraz więcej wszystkie swoje uczynki, nietylko te, które się odnoszą wprost do Boga, ale i te, które się odnoszą do



BIRCHIRCARA (Malta) — Alumni Oratoryum „Dominika Savio".

rodziców, rodzeństwa, do ich obowiązków szkolnych lub względem pracodawców. Więc katecheta w kaplicy X. Bosko nie zajmuje wysokiego miejsca na katedrze, ale staje w środku swoich chłopczyków i rozpoczyna z nimi rozmowę tak, jak to czyni bogobojna matka w gronie swoich dziatek. Toż chłopcy bez najmniejszej obawy wytaczają wszystkie kazusy ze swego życia codziennego i pytają, jak w tym lub owym wypadku należało postąpić, podawają powody, dlaczego sobie postąpili tak a nie inaczej, przedstawiają, jak nieraz niepodobna im iść za głosem sumienia, lecz muszą postępować tak, jak ich do tego zmusza otoczenie, inaczej musieliby się wyrzec chleba i pracy, lub co najmniej wystawić na nieznośne nagabywania ze strony złych itd. A taki świecki katecheta, który sam żyje w takich właśnie warunkach, poucza praktycznie, jak w tym lub owym wypadku należy sobie postąpić, a jeżeli natrafi na trudność, której sam rozwiązać się nie waży, zapowiada, że się poradzi X. Dyrektora i na przyszły raz całą sprawę wyjaśni. Tym sposobem chłopcy nietylko przyswajają sobie wszystkie główne prawdy religii naszej św, ale nieznacznie i prawie nieświadomie oswajają się z obowiązkami, jakie ta religia na nich wkłada i spełniają je bez trudności, bo przekonują się, że ta religia nie wymaga od nich rzeczy niemożliwych, a w rzeczach trudnych daje im dostateczną pomoc nadprzyrodzoną.

ROZMAITOŚCI.

Mamo, to on!

Inspektor szkolny Specyi, p. Alvarus Bonino, opowiadał w r. 1884 następujące ciekawe zdarzenie, którego sam był świadkiem, gdy w r. 1850 uczęszczał do Oratoryum X. Bosko, jako ka-

techeta świecki. (Był naonczas nauczycielem elementarnym w Turynie).

Pewien ojciec rodziny, przynęcony groszem, który nieprzyjaciele wiary dawali odstępcom, został protestantem i chciał za wszelką cenę zmusić do przyjęcia protestantyzmu także swoją żonę i swego synka. Biedna matka płakała i modliła się, aż oto pewnej nocy chłopczykowi śniło się, że został gwałtem porwany do kościoła protestanckiego, a podczas gdy on się opierał ze wszystkich sił, zjawił się jakiś kapłan i wyrwał go z rąk oprawców.

Chłopczyk rano opowiedział swój sen matce, która już od pewnego czasu szukała dla niego pomieszczenia w jakim zakładzie wychowawczym. Jakaś osoba poradziła jej udać się do X. Bosko i spróbować, czy w Oratoryum nie znalazłoby się miejsca dla jej synka.

W niedzielę rano udała się tedy do Oratoryum wraz z chłopczykiem, a dowiedziawszy się, że w kościele właśnie odprawiała się Msza św., wstąpiła tamże i uklękła obok p. Bonino. Gdy chłopczyk zobaczył X. Bosko wychodzącego ze zakrystyi do ołtarza, począł krzyczeć na całe gardło: *C'est lui, maman! c'est lui même! c'est lui même!* (w niektórych okolicach Piemontu lud mówi po francusku. Powyższe słowa znaczą: Mamo, to on! to właśnie on! to właśnie on!) czyli ów kapłan, co mu się ukazał we śnie. Chłopczyk krzyczał, matka ze wzruszenia poczęła płakać; p. Bonino upomniał oboje, że w kościele nie wypada robić takich scen, lecz widząc, że nie może ich uspokoić, zaprowadził ich do zakrystyi, gdzie usłyszał całe opowiadanie o śnie i o tem, jak chłopczyk w X. Bosko rozpoznał swojego zbawcę! Tymczasem X. Bosko odprawił Mszę św, wrócił do zakrystyi i jeszcze się dobrze nie rozebrał z szat kapłańskich, gdy chłopczyk wyrwał się ku niemu, objął go za kolana i wołał: *Ojcze, ratujcie mnie.*

X. Bosko przyjął go do swego Oratoryum i trzymał przy sobie przez lat kilka, aż chłopiec mógł samodzielnie wystąpić w świecie bez oglądania się na ojca odszczepieńca.

Spowiedź w lesie.

Ostatnie dni września i początek października zwykł był X. Bosko spędzać w rodzinnej swej wiosce; zabierał wtedy z sobą także najlepszych swoich uczniów, ażeby ich coraz więcej przywiązać do siebie i przygotować do stanu, do którego widział ich powołanych.

Niedzielę Różańcową odprawiali z wielką uroczystością, bo była ona niejako zakończeniem i aktem wdzięczności za dni wypoczynku, spędzone w zaciszu wiejskiem.

Po takiej niedzieli Różańcowej w r. 1849, gdy chłopcy już byli powrócili do Turynu, X. Bosko szedł pewnego wieczora z Becchi do Buttigliery, drogą samotną, a po jednej stronie przytykającą do lasu. Nagle zbliża się do niego jakiś wyrostek i prosi o wsparcie. Niby to prosi, ale z głosu i wejrzenia widać było, że domagał się stanowczo pieniędzy. X. Bosko nie tracił zimnej krwi, lecz zatrzymał się i rzekł młodzieńcowi, ażeby miał nieco cierpliwości, a co będzie mógł, to mu uczyni.

Co mi tam Ksiądz bredzi o cierpliwości; proszę niezwłocznie o pieniądze, inaczej śmierć.

X. Bosko odpowiedział: Pieniędzy nie mam; a co dotyczy mego życia, to P. Bóg mi je dał i On tylko może mi je odebrać.

Przypatrzywszy się atoli bliżej człowiekowi, poznał w nim młodzieńca, który został uwięziony za kradzież zegarka i przez to od rodziny odepchnięty. Nadto przypomniał sobie, że go już był spotkał i uczył katechizmu w więzieniach turyńskich i wyrobił dla niego uwolnienie u prokuratora królewskiego. Młodzieniec nie poznał swego Dobroczyńcy, bo noc była ciemna, a on trząsł się od niepokoju z powodu zamierzonej zbrodni. Więc X. Bosko podniósł głowę i rzekł mu prawie szeptem: Jakto? Antoni? I ty zajmujesz się tak ohydnem rzemiosłem? I tak dotrzymujesz przyrzeczeń, któreś mi dał kilka dni temu... tam..... u św. Augustyna, że już więcej nie będziesz kradł?

Nieszczęśliwiec, który z tych słów dopiero poznał X. Bosko, zawstydził się do głębi, spuścił głowę i rzekł:

— Ksiądz ma racyę, ale co ja mam robić, wstydzę się wrócić do mej wioski. A potem nie poznałem Księdza. Gdybym go był poznał, nie byłbym nigdy w świecie uczynił mu takiej krzywdy..... Więc przepraszam!

— To nie wystarza, mój kochany Antosiu, ty musisz jakim bądź kosztem zmienić życie. Ty wyczerpujesz miłosierdzie Boże i obawiam się, że jeżeli rychło się nie poprawisz, to zebraknie ci potem czasu.

— Ależ pragnę się poprawić na prawdę.

— To jeszcze nie dosyć, trzeba zacząć natychmiast i wyspowiadać się zaraz, inaczej, gdybyś tej chwili umarł, zostałbyś zatracony na zawsze.

— Dobrze, to się i wyspowiadam.

— Ale kiedy?

— Choćby i zaraz, tylko że ja nie jestem przygotowany.

— Ja cię już przygotuję, ty tylko staraj się przyrzec P. Bogu, że go już nigdy więcej nie obrazisz.

X. Bosko wziął młodzieńca za rękę, zaprowadził na ustronie, sam usiadł na pniu, a jemu

kazał uklęknąć przy sobie. Biedny człowiek wyspowiadał się z widoczną skruchą. X. Bosko podarował mu medalik, a na tępnie zabrał z sobą do Turynu. Tam postarał się dla niego o za ęcie, zachęcał do wytrwania, a młodzieniec rzeczywiście szedł za jego zachętami, stał się poczciwym chrześcijaninem i dobrym ojcem rodziny.

W Kawiarni.

Pewnego dnia wszedł X. Bosko do kawiarni na śniadanie, gdzie do usług znajdował się chłopczyk bardzo miłej powierzchowności. X. Bosko jak zwykle, rozpoczął z nim rozmowę, pytał o powodzenie, a z pytania do pytania zeszedł w sprawy sumienia i zbadał jego serce. Chłopczyk podbity ojcowskiem obejściem kapłana, nie miał dla niego żadnej tajemnicy i wyjawił mu wszystko, co się działo w jego duszy i na co musiał patrzeć wkoło siebie.

Rozmowa była często przerywana, bo chłopczyk musiał usługiwać to temu, to owemu z gości, lecz zaraz wracał do X. Bosko pod różnymi pozorami i podejmował przerwaną rozmowę. X. Bosko mówił po cichu, tak że nikt z gości, ani sam gospodarz nie mógł przypuszczać, że ci dwaj omawiają rzecz tak ważną.

Zakończenie rozmowy było następujące:

X. Bosko: Poproś gospodarza, by ci pozwolił przyjść do Oratoryum; tam załatwimy resztę.

Chłopczyk: Gospodarz nigdy mi nie da tego pozwolenia.

— Ale ty żadną miarą nie możesz tu dłużej pozostać.

— Ja to widzę i uznaję, ale cóż mam robić?

— Uciekaj.

— Ale dokąd?

— Do twych rodziców.

— Nie mam rodziców: zmarli; jestem sam.

— To przyjdź do mnie.

— Gdzie?

— Do Valdocco; numer domu taki a taki.

— A potem?

— Zabierz tylko wszystkie twoje rzeczy i uciekaj, jak ci powiedziałem, do mnie na Valdocco. Tak rób, by nikt nie zauważył, co zamierzasz uczynić i przychodź; tam nie zabraknie ci niczego: ani chleba, ani przytułku, ani wychowania i wykształcenia do lepszego sposobu życia.

X. Bosko opuścił kawiarnię. Nazajutrz chłopczyk zemknął i przybył do Oratoryum z węzełkiem swych rzeczy pod pachą. Przez kilka lat budował swoich kolegów wzorowem sprawowaniem się w Zakładzie i pozostał na zawsze wiernym chrześcijaninem w świecie.



OBRAZKI Z ŻYCIA

ŚWIĄTOBLIWEJ

MAŁGORZATY BOSKO

MATKI

Wielebnego JANA BOSKO

założyciela *Zgromadzenia XX. Salezyanów.*

NAPISAŁ X. J. LEMOYNE.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XIV.

Gorliwość Małgorzaty o zbawienie dusz ludzkich.

O dzielności charakteru Małgorzaty nikt nie może mieć należytego wyobrażenia i nie zdoła godnie jej opisać, chyba tylko ten, kto na nią często spoglądał. Grzechowi wypowiedziała ona wojnę ustawiczną i nieubłaganą. Nietylko brzydziła się wszelakiem złem, ale nadto starała się jeszcze, aby chronić od dopuszczania się obrazy Boga nawet tych, którzy do niej wcale nie należeli. Stąd przestrzegała zawsze rozstropnie ale stanowczo, aby nie przyszło do jakiegobądź zgorszenia i była zawsze gotową ponieść w ofierze gwoli tego wszystko, czem rozporządzała.

Nieraz włościanie tej części gminy, gdzie Małgorzata mieszkała, pragnąc się nieco zabawić i ochoczo podskoczyć, szukali w okolicy jakiego muzykanta. I gdy ten nad wieczorem zaczął rzempolić, dzieci Małgorzaty usłyszawszy te wygrywania, biegły do niej z zapytaniem:

— Matusiu, czy i my pójdziemy?

Małgorzata zaś przyjąwszy je z miłym uśmiechem, mawiała: Nie ruszajcie się z domu, lecz czekajcie, ja pójdę pierwej zobaczyć, co tam jest takiego.

Jeśli widziała zebranie uczciwych osób i że chodziło tylko o zabawę, a nie było obawy rozpusty, powracała do synów ze słowami pozwolenia: Możecie pójść! — Lecz jeśli dostrzegła tam co nieprzyzwoitego, choćby najmniejsze zło, dawała odpowiedź stanowczą: Ta zabawa nie dla was.

— Ale... ale... ale...

— Tu żadne »ale« nic nie poradzi. Żadną miarą nie pozwolę, abyście lecieli do piekła. Czyście zrozumieli?

Synkowie przez chwil kilka stali posępni, nie wyrzekłszy ani słowa, lecz dobra matka zawoławszy ich do siebie, zaczęła im opowiadać gadki i historye ciekawe w sposób tak żywy i zajmujący, jakby jaki powieściopisarz lub poeta. Wówczas dzieci oświadczały, iż im milej słuchać jej opowiadań, aniżeli zabawiać się poza domem. A gdy się zbliżyła noc, kończyła: Pójdźmy już na spoczynek, lecz pierwej zmówmy pacierz za tego, co pierwszy umrze tej nocy, aby się nie potępił. Te słowa sprawiały nadzwyczaj zbawienny skutek na umysł jej dzieci i z wielkiem nabożeństwem odmawiały wtedy swoje modlitwy.

Również miała pilne staranie o dziewczynkach cudzych. Jeśli spotkała kiedy niektóre z nich w ubraniu podartem, obszarpanem a niedostatecznem, zbliżała się do nich, mówiąc: Czy wy się nie wstydzicie Anioła Stróża, który stoi przy boku waszym? Czy nie wiecie, że on zakrywa sobie twarz rękoma i wstydzi się, iż ma was w opiece?

— Ależ my jesteśmy ubogie i nie mamy nikogo, ktoby zajął się nami i dał nam ubranie inne.

— Chodźcie więc ze mną.

I prowadziła je do swojej chaty, ponaprawiała im sukienki, przydała jaki kawałek płótna lub sukna, jeśli było potrzeba i, skoro już nie raziły oczu swoją zewnętrznością, odprawiała je z Bogiem. A lubo musiała zarabiać od rana do wieczora na utrzymanie swojej rodziny, nie wahała się jednak poświęcić nawet znacznego czasu dla tej sprawy miłosierdzia chrześcijańskiego. Dziewczętom zaś, o które obawiała się, że mogą się znajdować w niebezpieczeństwie utracenia cnoty, starała się pomagać w sposób szczególny, czy to dostarczając im chleba, czy gotując im polentę, czy obdarzając je jakiemi owocami, czy też zachowując dla nich, celem zjednania ich sobie, jaką przekąskę, na którą były łakome; a zaprosiwszy je do siebie, przyjmowała tak serdecznie, iż lepiejby nie mogła przyjmować matka własnych córek i wspierała je w sposób, jaki tylko był możliwy, nigdy zaś nie rozstawała się z niemi bez udzielenia jakiej zbawiennej rady.

Przedewszystkiem wpływała na nie, aby unikały osób płci drugiej, a celem zerwania znajomości niebezpiecznych, używała środków tak delikatnych a mądrze obmyślanych, że potrzebaby dużo czasu do opowiedzenia tego wszystkiego. Nie kwapiła się jednak z dawaniem przestróg, lecz zawsze wyczekiwała stosownej chwili, iżby mogła mówić w cztery oczy. Wówczas nauczyła tych, co tego potrzebowały, jak mają się zachować w towarzystwie, albo przestrzegała, aby się nie zbliżały do pewnych osób i podawała im uwagi, jak mają postępować z tą lub z ową osobą, o ile mają zmienić swój sposób mówienia i jak mają poprawić pewne swoje ruchy lub śmiechy nieumiarkowane. Tem swojem postępowaniem zjednała sobie Małgorzata szacunek i miłość wszystkich dziewcząt w okolicy do tego stopnia, iż wzbudzało to podziw powszechny.

W lecie, dla zbytniego gorąca, pozwalano sobie w niektórych rodzinach na cokolwiek większą swobodę w ubieraniu się, aniżeli pozwala surowość Ewangelii. Gdy tedy Małgorzata wchodziła do jakiej chaty, na sam głos jej, pierzchała każda nienależycie ubrana, aby się ukryć, albo biegła wziąść jakie przyzwoitsze nakrycie i tylko wtedy ukazała się przed nią, kiedy była pewną, iż nie zasłuży na naganę.

Powiedzieliśmy wyżej, jak chętnie przyjmowała Małgorzata w gościnę kramarzy wędrownych. Miała ona w tem osobny cel. Oto nosili oni często w swoich skrzyniach obrazki mniej przyzwoite, albo książki niemoralne, sprzedając je na jarmarkach. Gdy tedy Małgorzata coś takiego u nich spostrzegła, prosiła ich, aby jej to darowano, i nieraz w ich oczach rzucała w ogień, albo jeśli to były książki, oddawała je księdzu wikaremu w Murialdo; a często sami kramarze rzucali w jej obecności dla przypodobania się jej one rzeczy w ogień.

Małgorzata wprawdzie nie umiała czytać, ale mimo to pilnie baczyła na książki będące w obiegu, wnioskując o ich dobroci lub szkodliwości ze słów, które zręcznie umiała wydobyć z ust ich właścicieli. Aby odszkodować ich za to, zapraszała ich jako przyjaciół swoich do stołu swego i dzieliła się z nimi potrawami, które była przyrządziła dla własnej rodziny. Przy pożegnaniu zaś z nimi nie zaniedbywała nigdy wymódz od nich obietnicy, iż nie będą więcej sprzedawać druków lub obrazów, któreby mogły zaszkodzić zbawieniu bliźnich. A obietnicy tej nie było jej tak trudno otrzymać, gdyż wszyscy bywali zachwyceni niezrównaną uprzejmością i gościnnością i niezwykłem jej miłosierdziem.

Jeżeli kiedy wydarzyło się, iż musiała być świadkiem jakiego ciężkiego zgorszenia, wtedy okazywała się jej siła ducha i odwaga w całej pełni. Jednej niedzieli, gdy szła na Mszę św., postępowało na czele tłumu ludzi, z każdą chwilą się wzmagającego, kilkunastu młokosów, a pomiędzy nimi przewodził chłop liczący około sześćdziesiąt lat, który za kradzież już kilka razy odsiadywał więzienie. Ten rozmawiał z otaczającymi go o rzeczach sprosnych, a rzucając w lewo i w prawo nieprzyzwoitymi żartami, dokuczał tem bardzo osobom, tuż obok przechodzącym. Małgorzta nie mogąc się powstrzymać, zbliżyła się ku niemu i zawołała go po imieniu.

— Czego chcecie? — zapytał ów chłop, obracając się za siebie i wstrzymując kroku.

A Małgorzata odezwała się do niego głosem zniżonym: Czy miłoby wam było, gdyby dzieci wasze słyszały albo prowadziły podobne rozmowy, jakie wy teraz prowadzicie?.

— Cóż tam! Co wy macie do nas? To się wie! Wesołości także potrzeba. Mówi się, aby się uśmiać. Czyż już nie wolno śmiać się nawet? Któż śmiejąc się, szkodzi drugiemu? Potrzebaby wyjść z tego świata, aby nie słyszeć pewnych mów.

— Ależ powiedzcie, czy rzeczy, które mówicie, są złe, czy dobre? A jeśli są złe, pocóż je mówić?

— O co to wam chodzi? O nic! Przecież takie rzeczy mówią wszyscy: czyż mnie tylko nie wolno?

— A choćby i wszyscy tak mówili; czyż przez to one przestają być grzechem? A jeśli wy za nie do piekła pójdziecie, cóż wam to pomoże wtedy, że i inni podobne prowadzili mowy, jako wy?

Chłop na tę przemowę odważnej niewiasty zaczął się śmiać na całe gardło, a towarzysze jego, którzy również przystanęli, zaczęli mu wtórować. Wówczas Małgorzata rzekła ze wzruszeniem: I wy w waszym wieku z siwymi włosami zamiast dać dobry przykład, śmiecie gorszyć tych biednych młodzieńców? Wstydźcie się. — I pociągnąwszy ręką dzieci swoje, zeszła z drogi bitej, która prowadziła do kościoła, puszczając się ścieżką przez łąki; a gdy byli sami, zatrzymawszy się, mówiła do synków: Wiecie, jak ja was kocham; a jednak jeżelibyście mieli wyjść kiedy na takich, jak ów staruch niedobry, lepiejby było, żeby was Pan Bóg zabrał do siebie w tej chwili.

Kto miłuje niewinność i czystość dzieci własnych, znajdzie w tych słowach wyrażenie uczucia głębokiego, iście chrześcijańskiego i pozna, jak ceniła sobie ta matka zachowanie łaski Bożej w sercach swych dzieci.

Jednego wieczora na prządkach w domu Małgorzaty zaczęli dwaj młokosi rozmawiać na głos o rzeczach nieprzyzwoitych. Obaj byli znani ze złego prowadzenia się i ze zuchwalstwa. Małgorzata, która była w przyległej izbie, usłyszawszy te słowa, natychmiast wyszła do nich i prosiła, aby zaprzestali podobnych rozmów; ci zaś bezczelnie śmiali się jej w oczy. Wtedy ona oświadczyła im stanowczo: Ja was nie chcę w domu moim. A chłopczyska nie ruszywszy się wcale z miejsca, zaczęli śpiewać brzydką piosnkę.

— Jestem w domu moim! — zawołała matka Małgorzata. — Jesteście na mojej posiadłości; rozkazuję wam tedy: ustąpcie stąd!

Lecz ci gwałtownicy, zamiast się wydalić, zaczynają nucić nowe, niegodziwe śpiewki. Wtedy Małgorzata posłała jednego ze synków swoich do domów onych dwu zuchwalców, aby przywołać kogo starszego z ich rodziny; i niebawem przyszła matka jednego a brat drugiego. Było jeszcze trochę kłopotu z nimi, ale w końcu musieli się zabrać. I Małgorzata już nigdy więcej nie przypuściła ich do swojej chaty na prządki.

ROZDZIAŁ XV.

Narada nad powołaniem synów. — Mały skoczek.

Dwaj synkowie Małgorzaty, Józio i Jaś różnili się pomiędzy sobą usposobieniem i skłonnościami.

Józio usposobienia łagodnego i spokojnego, był wzorem dobroci, cierpliwości i zapobiegliwości i szczerze pragnął pozostać w stanie swojego ojca. Bystry umysł jego umiał wydobyć korzyść nawet z rzeczy, które na pozór zdawały się mało użytecznemi. Byłby zatem dobrym przemysłowcem, gdyby był nie ukochał spokojnego życia rolniczego.

Jaś zaś usposobienia gorącego, pełen życia, obdarzony pamięcią nadzwyczajną, naśladował każdą robotę i rzemiosło, jakie tylko zobaczył u kogo; bawił się szewstwem, krawiectwem, stolarstwem, ślusarstwem na mniejsze rozmiary. Przytem był małomowny, na wszystko dobrze uważał, ważył słowa drugich i nauczył się tym sposobem poznawać rozmaite usposobienia i charaktery, odgadywać myśli ludzkie, a wreszcie zastosowywać się roztropnie do każdego położenia.

Józio i Jaś bardzo się wzajem miłowali. Czego pragnął jeden, tego pragnął i drugi. Pomiędzy nimi nie było nigdy najmniejszej zwady, lecz owszem, szli w zawody, by uczynić coś takiego, co drugiemu mogło być przyjemnem.

Małgorzata zaś dobrze uważała na ich sprawowanie i modliła się do Pana Boga, aby dał jej poznać, do jakiego stanu powołani są jej synowie, a już oddawna przewidziała, że Pan Bóg nie przeznaczył Jasia do pługa.

Jednego poranku powiadał Jaś zebranej rodzinie swój dziwny sen, który był trwał przez noc całą. Zdawało się jemu, iż się znajduje w pośród mnóstwa dzieci, które zrazu miały wejrzenie różnego rodzaju dzikich zwierząt, a później przemieniały się na stado potulnych owieczek; a głos tajemniczy rozkazał mu, aby je wiódł na paszę.

Śmiech ogólny powitał to opowiadanie Jasia. Brat jego przyrodni, Antoni, zawołał z przekąsem: — Kto wie, czy nie zostaniesz przywódzcą łotrzyków! — Józio zauważył: — Będziesz zapewne owczarzem. — Babka zaś rzekła: — Sen mara, Bóg wiara. — Wreszcie Małgorzata wpatrzywszy się chwilkę w syna, powiedziała: — Być może, iż zostaniesz księdzem! — I ta myśl utkwiła głęboko w sercu dobrej matki, która śledziła na dnie duszy syna najmniejsze jej poruszenia.

Jasiowi nieraz się wydarzało, iż spotykał na drodze księdza proboszcza. Kilka razy wyszedł on naumyślnie po to na drogę o godzinie wieczornej, kiedy proboszcz zwykł był się przechadzać; pragnął bowiem z całego serca doń się zbliżyć, aby usłyszeć odeń jakie miłe słowo. Czuł, iż powinien być od niego kochanym. Skoro go tylko

zobaczył, już z daleka pozdrawiał go, a posunąwszy się bliżej ku niemu, nieśmiało mu się kłaniał. Proboszcz grzecznie i z powagą odpowiadał na pozdrowienie i szedł drogą dalej. Słowa proboszcza nie pociągały wcale Jasia ku niemu i nie obudzały zaufania. Czuł dla niego szacunek połączony z bojaźnią, a nie miłość. Powracał przeto do domu z oczyma zroszonemi łzami, a zapytany od matki, wynurzał jej swoje uczucia.

— Co chcesz od niego, chłopcze? mawiała matka. Jestto kapłan święty, uczony, zajęty myślami poważnemi i trudno mu z takim chłopcem, jak ty, wchodzić w rozmowy.

— I cóżby go kosztowało, gdyby się zatrzymał minut parę ze mną i powiedział mi dobre słowo?

— I cóżbyś chciał, aby ci powiedział?

— Cokolwiek pożytecznego dla duszy.

— Patrz, on ma tyle do czynienia w konfesyonale, na ambonie i w całej zresztą parafii!

— A przecież i my mali jesteśmy jego owieczkami.

— To prawda, ale on nie ma czasu do stracenia.

— A Pan Jezus tracił czas, kiedy rozmawiał z dziećmi?

— Nie powiadam, iż nie masz słuszności: ale o cóż ci chodzi?

— Ja, jeśli będę mógł kiedyś wyjść na księdza, to poświęcę całe moje życie dla dzieci. Nigdy mnie nie zobaczą zanadto poważnym, lecz zawsze pierwszy zacznę z niemi rozmowę. Zwoływać je będę naokoło siebie, będę je kochał i tak robić będę, aby one i mnie miłowały; im będę dawał dobre rady i przestrogi, cały się oddam dla ich zbawienia wiecznego. — Małgorzata wszystkie te słowa zachowała w sercu swem i nad niemi się zastanawiała, tem bardziej po ciekawem wydarzeniu, które zaraz opowiemy.

Wszyscy chłopcy z całej okolicy lgnęli całem sercem do Jasia, pociągani jakąś niewidzialną siłą. Tak bardzo go kochali, iż gdy powstały pomiędzy nimi kłótnie i zwady jakiegokolwiek rodzaju, wybierali go zawsze na rozjemcę powaśnionych i każdy potem chętnie godził się na jego wyrok.

Co zaś najwięcej pozyskiwało mu ich serca, to jego wymowne opowiadania. Przykłady słyszane na kazaniach i na katechiźmie dostarczały mu do nich obfitego wątku. Skoro go tedy ujrzeli, biegli doń gromadnie i domagali się, aby im wyjaśnił jaką rzecz. Dziwna, gdyż chodził Jaś tylko pięć miesięcy do szkoły w Kapriolu i umiał zaledwie czytać.

W czasie zimowym wszyscy chcieli mieć go na prządkach, aby słyszeć u ust jego piękne powiastki. Tam się zbierali licznie młodzi i starzy, a w pierwszym rzędzie dzieci, i wszyscy słuchali go nieruchomie, nieraz i pięć i sześć godzin bez przerwy, a on mówił, stojąc na ławce, ażeby tem łatwiej od wszystkich był słyszany i widziany. Jako przed i po kazaniu żegnają się i odmawiają we Włoszech »Zdrowaś Maryo«, tak samo czyniono przed zaczęciem i po ukończeniu opowiadania małego kaznodziei.

W czasie zaś letnim, osobliwie we dni świąteczne, zbierała się około Jasia młodzież ze sąsiedztwa, a nawet i z okolicy. Zabawiał ich wtedy sztuczkami, wyuczywszy się takowych od skoczków i kuglarzy, których widywał na jarmarkach w poblizkich miasteczkach. Po wielokrotnych doświadczeniach i próbach nabył on w tem wielkiej wprawy, o czem możemy powziąść wyobrażenie z następującego wypadku.

W Bekach jest łąka, na której onego czasu rosły niektóre drzewa, a pomiędzy innemi jedna grusza. Do tej gruszy przywiązywał Jaś sznur, a przyciągnąwszy go potem do drzewa, stojącego opodal, wyprężał go w powietrzu; dalej przygotowywał stoliczek i kładł na nim worek; wreszcie stawiał krzesło i rozścielał na ziemi kobierczyk do wyprawiania na nim skoków. A kiedy już wszystko było w pogotowiu i tłum ludzi w ciekawem oczekiwaniu stał naokoło, tedy wzywał wszystkich do odmawiania trzeciej części Różańca, którą zakończano jaką pieśnią pobożną. Po tem wszystkiem wyskakiwał na krzesło i odzywał się w te słowa: — Teraz posłuchajcie kazania, które dzisiaj rano wygłosił ksiądz wikary w Murialdo.

Niektórzy wtedy stroili figle i okazywali niecierpliwość, inni mruczeli sobie półgłosem, iż nie przyszli na kazanie, ale na sztuki, a wreszcie inni zabierali się do odejścia. Jaś stał na stołku, jakby król na tronie i rozkazywał tak śmiało, iż mógł zniewolić do posłuchu nawet starców sześćdziesięcioletnich. — Idźcie sobie tedy, wołał, wy, coście niecierpliwi, a wiem, iż zaraz się nawrócicie, skoro rozpocznę sztuki, ale powiadam wam, iż wtedy już was tutaj nie przypuszczę. — Na tę groźbę zabierali się do słuchania, zaś Jaś rozpoczynał kazanie, a raczej powtarzał wykład Ewangelii, słyszany na rannem nabożeństwie w kościele, albo też opowiadał wypadki lub przykłady słyszane, lub wyczytane z jakiej książki. Od czasu do czasu słuchacze wydawali okrzyk: Mówi dobrze, ma słuszność. — Po skończonem kazaniu odmawiano krótkie modlitwy i natychmiast zaczynały się sztuki. Mówca stawał się od razu kuglarzem zawołanym. Robił młynka, latał motyla, czynił skoki gwałtowne; potem przewiesiwszy worek przed siebie, połykał pieniądze, które zaraz wydobywał z nozdrzy, pomnażał kule, jaja; przemieniał wodę we wino, zabijał i krajał w kawałki koguta, a następnie wskrzeszał go i kazał mu śpiewać jeszcze głośniej, aniżeli pierwej śpiewał. Wreszcie chodził po linie, jakby po ścieżce, podskakiwał, tańcował, wieszał się raz jedną, a potem drugą nogą; a gdy po kilku godzinach takiej zabawy ze zmierzchem nocnym kończył mały skoczek, znużony,

swoje sztuki, odmawiano krótką modlitewkę i wszyscy rozchodzili się do domów swoich. — Od tych zebrań byli wykluczeni ci, co lubili bluźnić, prowadzić gorszące rozmowy, albo co nie chcieli chodzić do kościoła.

Zapyta może kto, skąd brał Jaś pieniądze na urządzenie tych zabaw? Odpowiemy: matka bardzo go lubiła; u niej miał zaufanie nieograniczone i bez jej pozwolenia nie ruszyłby ani ręką. Ona o wszystkiem naprzód wiedziała, na wszystko dawała baczenie i ona to dostarczała mu chętnie wszelkich przyborów potrzebnych do onych przedstawień. Wiedząc jednak, jak ważnem jest, aby dzieci pomnażały się w pokorze, nie okazywała nigdy podziwu na widok jego dobrych postępków i nie chwaliła go nigdy w jego obecności, ale modliła się za niego, prosząc o powołanie do stanu, w którymby Panu Bogu najlepiej mógł służyć.

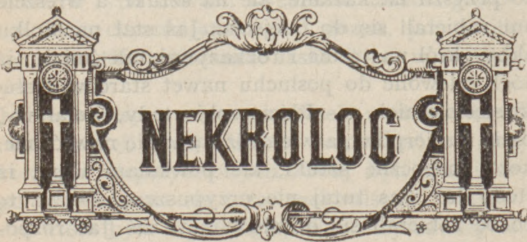
Jednego tedy dnia, kiedy Jaś wyciągnął linę na własnem podwórzu, aby bawić tłum ludzi zebranych, matka zamyślona, wlepiła oczy w niego, zapierając oddech w sobie. W tem nadchodzi przyjaciółka i pozdrawiając ją, rzekła.

— I cóż Małgorzato?

A Małgorzata, jakby przebudzona ze snu, zwróciwszy się do niej, zapytała pocichu, a z żywością:

— Jak myślicie, co będzie z mego syna?

(Ciąg d. n.)



Górny Śląsk:

Gratza Teresa, *Huta królewska.*
Kaczmarek. *Karstenhütte.*
Kufel Krystyn, *Miechowice.*
Nokielski Wilhelm, *Wolśnice.*
Spiek Albina, *Böhme, kol.*
Womjek Orszula, *Bytom.*

Wielkie Księstwo Poznańskie:

Dudek Katarzyna, *Rozdrażewo.*
Fengler Maryanna, *Odolanów.*
Kapturska Józefa, *Wyskoc.*
Kończak Franciszka, *Śrem.*
Michalska Agnieszka, *Konitz.*
Nawrot Katarzyna, *Śrem.*
Porządna Maryanna, *Gostów.*
Szczepski Władysław, *Krobia.*

Galicya:

Dyłągowa Franciszka, *Leńcze.*
Gołojuch Józef, *Brzoza stadn.*
Gunia, *Jordanowo.*
Ochęduszko Sabina, *Stubno.*
Patyka Franzciszka, *Leńcze.*
Rosicki Wincenty, *Rohatyn.*

Królestwo Polskie:

Braut Feliks, *Wieluń.*
Laskowska Emilia, *Warszawa.*
Misiakiewicz Ludwik, *Wieluń.*
Pałka Maryanna, *Żerkowice.*
Tronicki Józef, *Wieluń.*

Z różnych stron:

Biemik Jan.
Czubaj Jadwiga.
Krępka Marya.
Lester Marcin.
Pietrzyński Jan.
Pralat Julianna.
Rochowicz Jan.
Stężycki Kasper
Szołtysik Franciszek, *Rybno.*
Tomas Jan.
Wituś Zofia.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia Międzynarodowej Spółki Wydawniczej — Turyn, Corso Regina Margherita 176.
Odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).